



SYRENA

ROK XXIII
PARYŻ—LONDYN

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

Nr 2/1070 (802)

CZWARTEK, 10 stycznia 1963

TYDZIEŃ POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ

WIELKIE DNI ROKOWAŃ W STOLICACH ZACHODNIEJ EUROPY

SPRAWA przystąpienia W. Brytanii do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, zwanej Wspólnym Rynkiem, weszła w fazę, którą prasa — raczej kontynentalna niż brytyjska — określa jako rozstrzygającą. Zachodnio-europejskie stolice rozumieją, że rząd Macmillana, który związał los konserwatywnej partii na najbliższe co najmniej lata z kandydaturą do EWG, rozpoczął ostateczną kampanię o uzyskanie warunków, możliwych do przyjęcia przez parlament i większość opinii brytyjskiej. Dyplomacja Londynu zdaje się liczyć na wywołanie rozdziewięć wśród kontynentalnej Szóstki z tym również należy wiązać dyplomatyczne ożywienie w stolicach zachodnio-europejskich podczas najbliższych dni.

Program konferencji w tej sprawie jest bowiem istotnie bardzo bogaty, przy czym równoległe do sprawy Wspólny Rynek — W. Brytania będzie też omawiana niemniej ważna kwestia tzw. wielostronnego (multilateral) uzbrojenia nuklearnego Org. Traktatu Półn. Atlantycznego (NATO), z którą przybył do Paryża amerykański podsekretarz Stanu George Ball, podobno celem rychłego jej załatwienia po myśli trochę mglistych postanowień konferencji Macmillan — Kennedy w Nassau na Bahamach.

Kolejność spotkań zach.-europejskich jest następująca. Tydzień został rozpoczęty przez dwudniową wizytę ministra spraw zagranicznych Niem. Rep. Federalnej dra Schroedera w Londynie, po czym brytyjski minister do spraw EWG, lord prywatnej pieczęci Heath udaje się do Paryża. Min. Schroeder z kolei oczekuje w Bonn włoskich ministrów Piccioni'ego — spraw zagranicznych i Colombo — głównego przedstawiciela Włoch do EWG oraz następnie belgijskiego ministra handlu zagranicznego Fayat'a i potem amerykańskiego podsekr. G. Ball'a.

Wreszcie, 14 stycznia rozpoczynają się w Brukseli wznowione właściwe rokowania W. Brytanii z Szóstką EWG, a w tydzień później Adenauer ma przybyć znowu do Paryża, celem ustalenia metod zapowiedzianego wzmocnienia współpracy francusko-niemieckiej.

Z drugiej strony „żelaznej kurtyny“ oczekiwana wizyta N. S. Chruszczowa we wsch. Niemczech wróży wznowienie sporu o Berlin.

Misja dra Schroedera — Macmillan jedzie do Rzymu

Prasa brytyjska zachowuje przeważnie dyskrecję w omawianiu wizyty niemieckiego ministra spraw zagranicznych, ale rachuby rządu Macmillana na rolę, jaką ten dyplomata niemiecki młodszego pokolenia miałby teraz odegrać są łatwe do odcyfrowania. Ma on opinię, nie wiadomo do jakiego stopnia uzasadnioną, bardziej probrzytyjskiego niż

stary kanclerz Adenauer i Londyn rzekomo liczy na jego pojednawczość, która umożliwiła by osiągnięcie wreszcie w brukselskich rokowaniach kompromisu.

Według ocen paryskich, które znajdują wyraz na łamach tamtejszej poważnej prasy, Schroeder miałby „zmiękczyć“ Adenauera i zrozumieć lepiej drażliwą stronę osi Paryż—Bonn, jeśli Włochy i Beneluks pozostają się zastawione na bocznym torze. Wejście W. Brytanii do EWG mogło by się stać czynnikiem pożądanym także dla Bonn równowagi. Nad tym pracuje dyplomacja angielska od dawna w Rzymie i Brukseli, co zdaniem Londynu winno być lepiej przyjęte również przez Bonn. Według niektórych poglądów Londyn powiązał też w rozmowach ze Schroederem sprawę warunków swego przystąpienia do EWG z kwestią „wielostronnego uzbrojenia nuklearnego“ i innych tematów, omówionych na Bahamach z Kennedy'm. Dyplomacja brytyjska ofiarowała się rzekomo na wzajem z „dobrymi usługami“, które by usunęły niepokój rządu amerykańskiego, wywołany ostatnią fazą polityki zbrojeniowej Waszyngtonu, ska-

zuającą — według niemieckich obaw — armię NRF na rolę broni tylko „klasycznych“, czyli „armatniego mięsa“.

Jest charakterystyczne, że w czasie pobytu Schroedera w Londynie ogłoszono, że Macmillan ma w najbliższych tygodniach złożyć wizytę oficjalną w Rzymie. Będzie to rewanż za pobyt premiera Fanfaniego przed rokiem w Londynie. Według „Times'a“, tematem rozmów brytyj-

(Dokończenie na str. 8)

fraszki

PODSTAWOWA TEORIA

Uczonego zanudzał sąsiad przy obiedzie,
Wydanym właśnie na tego uczonego cześć,
Jaką ekonomiczną teorię popiera.

Ten rzekł: „Konsumpcyjną. Znaczy — lubię zjeść!“

NIESPOŻYTY

Mówią, że niespożyty, że stu lat chce dożyć.
Nic dziwnego, bo kto by chciał faceta spożyć?

WEZWANIE

Nikito Chruszczow! Czas słowne pogroźki
Zamienić w energiczny czyn!
Po Związku Chińskich Komunistów w Rosji
Twórz Związek Wyzwolenia Chin!

Rawicz

RADA TRZECH PRZYJMUJE ŻYCZENIA NOWOROCZNE

SYTUACJA POLSKI I ŚWIATA NA PRZEŁOMIE ROKU

W niedzielę 6 bm. o godz. 10 w kościele św. Andrzeja Boboli w Londynie ks. mgr. K. Sołowiej odprawił uroczyste nabożeństwo za Polskę wolną, całą i niepodległą i wygłosił okolicznościowe kazanie.

Po nabożeństwie przedstawiciele emigracji niepodległościowej z władzami Zjednoczenia Narodowego na czele zebrał się, w sztandarowej sali Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego, celem złożenia noworocznych życzeń Radzie Trzech. Wśród zebranych udawali nowe przeważnie, młodsze twarze wybranych w jesiennych wyborach członków Rady Jedności Narodowej, oraz liczniejsza niż dawniej grupa pań, również pochodzących z tych wyborów.

Po wejściu na szczeblu zapelnioną salę Rady Trzech, gen. W. Andersa, gen. T. Bora-Komorowskiego i amb. E. Raczynskiego oraz gdy uciszyły się rozmowy, jako pierwszy zabrał głos prezes EZN, dr. W. Czerwiński. Charakteryzując rok ubiegły w polityce światowej, mównica podkreślił sukces Stanów Zj. których Prezydent nie ulakł się groźby agresji sowieckiej z kubańskich baz i rzuciwszy na szalę olbrzymi ciężar amerykańskiej potęgi wojskowej spowodował cofnięcie się Rosji. Rosnąca potęga zjednoczonej Europy to nowy czynnik, którego kierownicy, oby nie zapominali, iż „Europa nie kończy się na Łbie ani na Odrze, że Europa jest Polska, Czechosłowacja i Węgry, że do zachodniej wspólnoty cywilizacyjnej należy Warszawa, Kraków i Poznań, Wrocław i Szczecin, Wilno i Lwów“. Przechodząc do sytuacji Kraju, dr. Czerwiński stwierdził, że rok miniony nie przyniósł, niestety, poprawy położenia. W dobie zmierzchu kolonializ-

mu Rosja narzuca Europie Środkowo-Wschodniej swój system i politykę w imię własnych imperialnych interesów. Najlepsze stosunkowo plony daje praca polska tam, gdzie względnie najwięcej zostawiono wolności: na wsi. Role Kościoła i religii, z której naród czerpie siłę wytrwania winniśmy zawsze mieć w pamięci oraz podkreślać winniśmy udział Prymasa, ks. kard. S. Wyszyńskiego oraz innych ks. bisk. w rzymskich pracach Soboru Powszechnego. Na emigracji nieprzemijające znaczenie miał Pierwszy Ogólny Zjazd Polaków w W. Brytanii, który potwierdził nasze stanowisko w walce o niepodległość Polski i dokonał wyboru przedstawicieli do Rady Jedności Narodowej. W wyborach wypowiedziało się 13 tysięcy Polaków, najczynniejszych w życiu społecznym, ale podobnie myśli i czuje ich znacznie więcej. Historia uczy, że powołaniem emigracji jest walka i mylą się pesymiści, którzy wróżą rychły koniec naszej akcji. Rok Nowy, 1963 budzi wielkie wspomnienia. W 963 r. kroniki zapisały po raz pierwszy imię Polski: bitwę Mieszka I z Wichmanem Saskim, a przed stu laty rozgorzały walki powstania styczniowego. „Kiedy pod ciosami — mówił w zakończeniu dr. Czerwiński — zawalił się gmach Rzeczypospolitej, synowie przejmowali z rąk ojców rozpaloną pochodnię wolności. Jest wielkim zadaniem i odpowiedzialnością naszego pokolenia, aby ta pochodnia nie zgasła w naszym ręku“.

Drugi z kolei zabrał głos prezes Rady Jedności Narodowej dr. T. Bielecki, który rozpoczął od wskazania, że ostatnio zaznaczyło się w polityce światowej osłabienie sowieckiej ofen-

PARTYJNE PERSPEKTYWY NAUKI W POLSCE

PRY studium dokumentów, dotyczących grudniowego plenum Komitetu Centralnego PZPR, poświęconego szkolnictwu wyższemu i nauce ustawicznie należy mieć w pamięci, że pochodzą one z pracowni i spod pióra ludzi „zaangażowanych ideologicznie“ na najwyższym szczeblu. I to zaangażowanych w podwójnym znaczeniu: teoretycznie — jako rzeczników doktryny komunistycznej oraz praktycznie — jako satelitów Rosji.

Stwierdzenie to jest raczej banalne, niemniej nie zawadzi je przypomnieć zwłaszcza w związku ze sprawami tak istotnymi i subtelnymi, jak sprawy naszej kultury umysłowej, które były przedmiotem obrad. Przypomnienie to jest ważne i z tego powodu, że komuniści, jako monopartia, muszą, volens nolens, ustosunkowywać się również do potrzeb społeczeństwa w dziedzinie nauki, wynikających z obiektywnego układu stosunków i w tym celu wezwali na swe obrady również bezpartyjnych przedstawicieli nauki.

Doktrynalne zasady i satelicka służebność zmieszane są więc w tych dokumentach z realiami i rzeczowymi postulatami nauki polskiej. Badacz tych dokumentów nie może jednak nigdy zapominać, że Komitet Centralny PZPR zebrał się nie po to, aby teza- mi, referatami i uchwałami swoimi

służyć interesom nauki polskiej, a po to, aby tę naukę wrzucić silniej jeszcze, aniżeli dotychczas do służby celom i interesom partii.

Wydobycie tej przewodniej tendencji jest tym bardziej wskazane, że przenika ona z wyjątkową wyrazistością całą dokumentację obrad, a więc przede wszystkim referat „Biura Politycznego“, referat sekretarza KC p. W. Jarosińskiego, przemówienie końcowe p. Gomułki, głosy uczestników partyjnych w dyskusji i uchwały plenum.

Zaraz w pierwszym akapicie referatu „Biura“ spotykamy się z wyznaniem niezmiernie ważnym. Oto zaliczając do swych „najbardziej znamienitych osiągnięć“, „przewyższenie dominacji nauk humanistycznych“, która „charakteryzowała zacofanie naszego kraju“ w okresie przed narzuceniem Polsce rządów komunistycznych — PZPR prowadziła, po zdeterminowaniu tych nauk, „technologię“ jako naukę wiodącą, gdyż „od zastosowania tej nauki w produkcji“ zależy, według doktryny marksistowsko-leninowskiej, „szczęście narodów. Warto tu w nawiasie dodać, że symbolem niejako prymatu „technologii“ w polityce naukowej reżimu stała się ostatnio zmiana na stanowisku prezesa Polskiej Akademii Nauk. Po humaniście prof. T. Kotarbińskim stanowisko to objął profesor radiotechniki na politechnice warszawskiej J. Groszkowski.

Gdy referat „Biura“ kładzie główny nacisk na prymat technologii w szkolnictwie wyższym i w badaniach naukowych, to p. Jarosiński w referacie swym — pesymistycznym zresztą jeśli idzie o ocenę rozwoju szkół wyższych i nauki z punktu widzenia interesu partii — przenosi akcent na „znaczenie treści teoretycznej i ideologicznej nauk humanistycznych“, zwłaszcza zaś t.zw. nauk społecznych (t.j. ekonomii i filozofii marksizmu-leninizmu).

W tej dziedzinie, w której „celem pozostaje pełne zwycięstwo ideologii marksizmu-leninizmu“ — referent wywnioskował właściwie same minusy i rozczarowania. Poza pochwaleniem bowiem (nie wyróżnionych tytułami) podręczników w zakresie nauk prawnych, ekonomicznych, historycznych (zapewne Historia Polski PAN-u) oraz „w szeroko pojętym językoznawstwie“ (Słownik Doroszewskiego?), referent podkreślił same „zjawiska ujemne, a nawet niepokojące“. Nauki humanistyczne w Polsce są więc — zdaniem referenta — bezideowe, bo ulegają wciąż „burżuazyjnym teoriom i burżuazyjnej metodologii“, grzeszą „fałszywie rozumianym obiektywizmem“, brak im „ofensywności ideowej w postaci rezygnacji z walki z obcymi poglądami“, uciekają od tematyki współczesności (na 200 samodzielnych badaczy w naukach historycznych tylko 25 zajmuje się problematyką XX wieku); rozwijają badania dokumentacyjne, ale ich po marksistowsku nie interpretują; nie przewyciężają pozostałości rewizjonistycznych, uważają instytucjonalny marksizm-leninizm za ideologię, która jest sprzeczna z nauką „marksizmu intelektualnego“, itd. To już jest — powiada rzecznik partii — stanowisko nie tylko naukowo błędne, ale również politycznie szkodliwe.

O ile idzie o ocenę wyników naukowych studiującej młodzieży oraz jej oblicza obyczajowo-ideowego — to stosowana przy okazji wszystkich tego rodzaju mityngów dialektyka dokazywała również i na grudniowym plenum cudów elastyczności. Raz więc jest to młodzież pochwały godna, już wychowana i pogodzona z „socjalizmem“ p. Gomułki i towarzyszy jako

(Dokończenie na str. 2)

SZCZODRY DAR HENRYKA JORDANA

Henryk Jordan, polski przemysłowiec mieszkający w Brazylii często już dawał wyraz swym uczuciom patriotycznym ofiarując pomoc materialną na różne cele polskie. Szerzej polskich instytucji kulturalnych i naukowych na całym świecie zawdzięczało mu nieraz wybawienie z kłopotów.

Dowiadujemy się obecnie, że p. Jordan zamiast życzeń noworocznych złożył dar dwustu funtów dla najbardziej potrzebujących wdów i nieletnich sierot po wojskowych polskich. Suma ta została wpłacona do Funduszu Społecznego Żołnierza, który ją rozdzielił między najbardziej potrzebujących.

(Dokończenie na str. 5)

Partyjne perspektywy nauki

(Dokończenie ze str. 1)

zjawiskiem naturalnym. Ale innym razem jest ona pozbawiona „ambicji intelektualnych”, „mało aktywna politycznie”, „cyniczna”, „pozująca na starców”, „rozczarowana”, obyczajowo „rozwydrzona”, dążąca do „wygodnego urzędowania s e”, społecznie bierna, itp.

Podobnie ma się rzecz z oceną naukowców, profesorów i asystentów. Referat „Biura” wyraża im uznanie „za ich patriotyzm i zasługi dla kraju i nauki, ale p. Jarosiński, jak wyżej wspomnieliśmy, recytuje przede wszystkim niekończący się katalog błędów i grzechów naukowych i politycznych grona profesorskiego. P. Gomułka zaś powie rz: „iż świat nauki idzie razem z partią”, ale za chwilę zrewiduje ten optymistyczny pogląd i pograży siebie i słuchaczy w smutku „wskazując niską wydajność pracy pracowników naukowych i przy tej sposobności zwróci nawet uwagę, że w Polsce dwudziestolecia naukowcy akademicy byli stanowczo bardziej pracowici aniżeli dzisiaj.

Niestety, widoki na poprawę stanu rzeczy w tej dziedzinie są nikłe, jeśli nie żadne w świetle dyskusji na plenum. Wydajność pracy naukowców w Polsce niepodległej była wynikiem panującej wówczas bez ograniczeń wolności nauki. P. A. Schaff mówiąc na plenum o „partijnym kierownictwie nauką”, polegającym na „organizatorskiej, inspirującej i wychowawczej funkcji partii w stosunku do nauki” — wielokrotnie powtarzał ograną od 18 lat płytę, że wolność nauki w tych warunkach „ma określone kierunki, określone granice”. Te granice są oczywiście dla p. Schaffa i jego partii. Uczony dysponuje wolnością badań naukowych, jeśli jego praca naukowa jest „prosocjalistyczna”, uczony do tej wolności nie ma prawa, jeśli jego działalność jest „proburżuazyjna”. A o tym, jaka jest praca naukowa uczonego, „prosocjalistyczna” czy „proburżuazyjna” — decyduje partia, która „nie pozostaje i nie może pozostać neutralna”.

Jak bardzo nieobojętą postawę będzie zajmowała partia w przyszłości na terenie szkół wyższych i na polu badań naukowych dowodzą tezy plenum dotyczące „zadań instancji i organizacji partyjnych” w wymienionych dziedzinach. Tezy te intensyfikują zadania partii w sposób, żywo przypominający okres polityczny Bieruta-Stalina. Organizacje partyjne mają bowiem w świetle referatu „Biura” wkraczać w samo sedno „merytorycznej pracy szkół wyższych i instytucji”, w szczególności dbać m.in. o podnoszenie sprawności nauczania i efektywności badań naukowych, o pogłębianie więzi szkół z życiem, o rozwój młodej kadry naukowej, o rozszerzenie kontaktów pracowników naukowych z partią, itp. Wszystkie te obowiązki, jakie wykonywać mają uczelnie organizacje partyjne, żywo przypominają zadania sprzed kilkunastu lat, nakładane przez reżim Bieruta na politruków uczelniowych. Najwidoczniej nie zostały one wykonane, skoro się je dzisiaj znawia. Jasne jest także, że partia nie ma innych środków — jak tylko poprzez komórki swoich konfidentów — uzyskiwania wpływu na proces nauczania i na życie nauki w Polsce.

Warto w zakończeniu podkreślić jeszcze satelicką funkcję odbytego plenum. We wszystkich jego dokumentach nie brak służalczych oświadczeń o dobrodziejstwach, jakie wniosła rzekomo odbudowanej nauce polskiej „wielka i doniosła pomoc nauki i techniki radzieckiej” oraz o wpływie, jaki na dalszy rozwój naszej nauki wywiera „nowy program KPZR”.

Ale kropkę nad i w tej materii położył p. Gomułka w ostatnim fragmencie swego przemówienia pod koniec plenum. Mówiąc że „hierarchię ważności problemów każdego uczonego ustalać muszą miarodajne organa państwowe” p. Gomułka oświadczył:

„Idziemy i musimy iść po drodze specjalizacji produkcji, po drodze zespalania gospodarczego krajów socjalistycznych, gdyż dla małych krajów, takich jak Polska, czy inne kraje demokracji ludowej, nie ma żadnej możliwości szybkiego rozwoju bez łączenia swych potencjałów produkcyjnych. Wymaga to także łączenia badań naukowych. Jeśli nasz kraj podejmie w ramach porozumień specjalizacyjnych określone kierunki produkcji, to rzecz jasna będziemy stawić przed naszymi instytucjami i uczonymi takie zadania naukowe, które wynikać będą z tych określonych planów specjalizacji w przemyśle. Wymagać to będzie niejednokrotnie zmiany dotychczasowych kierunków badań naukowych, koncentracji sił na określonych problemach”.

Narzuca się przypuszczenie, że grudniowe plenum władz partyjnych w sprawie nauki i szkolnictwa wyższego zwołane zostało m. in. dla zasygnalizowania perspektywy, jakie zawarte zostały w tej końcowej zapowiedzi kierownika partii, zapowiedzi, która wraz z gospodarczą przewiduje również integrację nauki polskiej z nauką, kierowaną z Moskwy. S. MękarSKI

EUGENIUSZ HINTERHOFF

KIEDY CHINY BĘDĄ MOCARSTWEM ATOMOWYM?

PODCZAS kryzysu kubańskiego, Chruszczow uprzytomnił sobie, że dalsze ryzyko tej niebezpiecznej gry będzie mogło zaprowadzić go, i tym samym Związek Sowiecki, na skraj przepaści. Było jedno państwo, które potępiło ustępstwo Chruszczowa, jako zdradę ideałów komunizmu. Były nim Chiny czerwone.

Powstaje więc pytanie, jakby się zachowały Chiny, gdyby się znalazły w podobnej sytuacji. Odpowiedź na to pytanie dał sam Mao Tse Tung przed paru laty, oświadczywszy, że „... wynikiem wojny nuklearnej nie będzie bynajmniej zniszczenie ludzkości... na gruzach martwego imperializmu, narody zwycięskie zwołają odbudowaną nową cywilizację, która będzie tysiąc razy piękniejszą od systemu kapitalistycznego...”. Wypowiedź tę wzięto, rzecz jasna, na warsztat propagandy oficjalnej, i włącza się ją w młogi setek milionów Chińczyków.

Zanim przejdziemy do omówienia hipotezy, kiedy Chiny będą się stać mogły mocarstwem nuklearnym, warto wspomnieć, że stały się już mocarstwem zarówno na polu lotnictwa jak i marynarki. Zdaniem gen. N. Twinninga, b. dowódcy lotnictwa amerykańskiego, Chiny, posiadają 50 skrzydeł myśliwskich i 20 skrzydeł bombowców.

Na odcinku morskim, Chiny, ze względu na tempo rozbudowy swojej floty podwodnej, zarówno w stoczniach własnych jak i przy pomocy Związku Sowieckiego, zdobyły dla siebie pozycję czwartego mocarstwa. Dodajmy, że pod względem liczebności siły lądowe sięgają, w czasie pokoju, 2-2,5 milionów ludzi, a w czasie wojny, mogą być rozbudowane do 100 milionów.

Co będzie gdy ten potencjał, t.zw. „konwencjonalny”, wzmożni się przez potencjał nuklearny w pełnym tego słowa znaczeniu, a więc posiadający zarówno bomby jak i „środki dostawy na cel”?

Chiny zabrały się do tworzenia potencjału nuklearnego już przed paru laty z właściwą sobie systematycznością i uporem „złotego człowieka”. Większa część elity ekspertów nuklearnych zaczynając od sławnego prof. dra Chen-Isuech-she, stojącego na czele programu atomowego w Chinach, odbyła swoje studia na różnych wyższych uczelniach w Ameryce. Wspomniany profesor aż do r. 1953 studiował w Massachusetts Institute of Technology (MIT), skąd rekrutuje się niejednemu z doradców Prezydenta Kennedy. Tenże profesor chiński, ze względu na swój dorobek naukowy i inteligencję, włączony był do ekipy amerykańskiej, która studiowała osiągnięcia niemieckie w Peenemünde...

Inny specjalista od budowy rakiet, dr Wang Kuntshang, który również „powrócił” do Chin, pomimo że miał do czynienia z wielu tajemnicami natury wojskowej, zatrudniony był przez dobrych parę lat na stanowisku kierownika wydziału rakietowego w Departamencie Obrony. Jest on obecnie dyrektorem Instytutu dla badań energii atomowej w Pekinie. Jeszcze innym wybitnym specjalistą chińskim, a który obecnie odgrywa rolę czoł-

FRANCJA. Mimo nacisków i perswazji Waszyngtonu oraz dotychczasowego dowódcy sił atlantyckich, gen. Norstada, prezydent de Gaulle podkreślił ponownie w swym orędziu do nowej izby deputowanych z 10 grudnia konieczność posiadania przez Francję własnego odstraszaka, którego użycie zależałoby od decydujących czynników francuskich, a nie „atlantyckich” czy „europejskich”. Równocześnie zaznaczył jednak, że istnienie NATO jest nadal niezbędne i że bynajmniej nie myśli o wycofaniu Francji z tej wspólnoty obronnej. Francuski „odstraszak” nie ma przy tym być ograniczony do atomowych bomb i głowic, ale objąć także wodorowe bomby i ewentualnie nawet głowice. Doświadczenia atomowe mają być (mimo sprzeciwów Algerii) przeprowadzane na Saharze, natomiast wodorowe na jednej z francuskich wysp na Pacyfiku.

Podług rocznego sprawozdania rządowego w obu tych dziedzinach postępy były zadowalające i to zarówno w dziele studiów nad udoskonalonymi wersjami, jak i w dziele produkcji seryjnej. Już w przyszłym roku mają być produkowane bomby atomowe o sile 60 kiloton TNT, czyli trzykrotnie silniejsze niż bomby rzucone w 1945 roku na Hiroszimę i Nagasaki. Do tego czasu mają być również wypro-

KRONIKA WOJSKOWA

dukowane poważniejsze ilości ponaddziesięciokrotności bombowców „Mirage IV” oraz myśliwców bombowych „Etendard IV”, które mogą owe bomby zabierać. Dorobienia się własnych rakiet strategicznych obecne plany nie przewidują, przewidują natomiast wyposażenie do 1970 roku floty w podwodne okręty, uzbrojone w rakiety typu Polaris. Pierwszy francuski okręt podwodny o napędzie atomowym, „Q-251”, ma wejść w skład floty w 1969 roku. Czy do tego czasu uda się wyprodukować także odpowiednie rakiety, jest dość wątpliwe. Tym bardziej, że gen. de Gaulle wolałby się obejść bez amerykańskiej pomocy i że Ameryka nie kwapi się do dzielenia się z sojusznikami swoim monopolem w tej dziedzinie. Nie znalazły również potwierdzenia rewelacje prasowe, że Waszyngton zaofiarował Francji nabycie za równowartość 23 milionów funtów atomowego okrętu podwodnego typu „Nautilus”, którego posiadanie ułatwiłoby flocie francuskiej przygotowanie załóg jej planowanych okrętów atomowych.

Ambitne plany gen. de Gaulle nie ograniczają się zresztą do stworzenia francuskiej „force de frappe” oraz do unowocześnienia wojska lądowego i lot-

nictwa pilotowanego. Przewidują także dołączenie Francji do „klubu kosmicznego”, t.z. do badań kosmosu. Jak oświadczył minister informacji, Peyrefitte, już w marcu 1965 ma być wprowadzony w orbitę ziemi satelita „Diamond”, ważący 150 funtów, a w ślad za nim ma być wystrzelony siedem satelitów o wadze 450 do 600 funtów. Niezależnie od tego przeznaczono dość znaczne sumy na kontynuowanie przygotowań „europejskiej” rakiety, której pierwszym członem miałyby być brytyjska rakiet „Blue Streak”, drugim jakaś rakiet francuska a trzecim mała rakiet niemiecka.

Lotnictwo pilotowane ma otrzymać nie tylko wspomniane powyżej bombowce „Mirage IV” i myśliwce bombowe „Etendard IV”, ale także nowe samoloty transportowe oraz samoloty „Balzac”, zdolne do pionowych startów i lądowań. Prototyp samolotu „Balzac” zademonstrowano po raz pierwszy publicznie w locie 6 listopada, choć zaledwie we wrześniu 1961 rozpoczęto jego budowę. Jest on odpowiednikiem brytyjskiego „P-1127”. Lotnictwo morskie zostanie unowocześnione przez zakupienie 46 świetnych amerykańskich myśliwców „Crusader”. Myśliwce te zostaną umieszczone na nowych lotniskowcach „Clemenceau” i „Foch”. Z tą chwilą zarówno lądowe jak morskie lotnictwo francuskie będzie nowoczesniejsze niż brytyjskie.

Przeobrażanie jednostek wojska lądowego ma się rozpocząć w dwóch jedynych dywizjach francuskich podlegających władzom atlantyckim i stacjonowanych w Niemczech. Unowocześnianie dywizji wchodzących w skład francuskiego odwodu strategicznego ma być podjęte dopiero pod koniec bieżącego roku.

Również plany mobilizacyjne ulegają radykalnej zmianie. Nie przewidują one już powołania do służby, jak w roku 1939, około 5 milionów rezerwistów, lecz jedynie półtora miliona młodych rezerwistów w wieku do 37 lat. Zmiana ta spowoduje dalsze osłabienie konwencjonalnych sił „atlantyckich”, czyli tak zwanej „tarczy atlantyckiej”, co zresztą jest nieuchronnym następstwem forsownego tworzenia francuskiej „force de frappe”, której niezależność niezmiernie utrudnia dowództwu sił atlantyckich przygotowanie racjonalnych planów operacyjnych.

Marszałek Juin, jedyny żyjący marszałek Francji, został latem 1962, w związku z opublikowaniem listu popierającego b. generała Salana nie tylko ukarany aresztem domowym na równi ze słynnym gen. Massu, ale także przeniesiony do rezerwy II klasy Kage

SPIS AUTORÓW Z ROKU 1962

Na łamach „Orla Białego-Syreny” i dodatków ukazały się w r. 1962 utwory następujących autorów:

Władysław Anders, W. Bednarski, Stefan Benedykt, Zygmunt Berezowski, Jan Bielawski, Tadeusz Bielecki, Tadeusz Bogdanik, Ludwik Bojczuk, Piotr Borkowski, Tadeusz Bornholtz, Z. Borynicz, Alfons Bronarski

Adam Ciołkosz, Lidia Ciołkosz, Alina Cybulska, Maciej Cybulski, Emeryk Czapski, Marian Czarnecki, Florian Czernyszewicz, Antoni Czułowski, Wiktor Junosza-Dąbrowski, Delfina, Czesław Dobek, Antoni Dobrowolski, Bronisław Duch, Stefania Dziubek, Tadeusz Felsztyn, Józef Garliński, Józef Feliks Gawlina, Jarosław Gierczak, Kazimierz Głabisz, Jan Gniazdowski, Michał Gołowski, Marek Gramski, Roman Gronowski.

Paweł Hęciak, Eugeniusz Hinterhoff, L. Hospitalier.

„Jadzia” Mieczysław Jałowiecki, Tadeusz Jankowski, Jantar, Czesław Jesmian, Bohdan Olgiard Jeżewski, J. J. Józef, J.P.H., Stanisław J. Karolus, Zofia Kasprzycka, Maria Kasterska, Franciszek Kędzia, Tadeusz Bór-Komorowski, Feliks Konarski, Stefan Korgul, Janusz Kowalewski, Stanisław Kotwicz, W. Kowalik, T. Krychowski, Kazimierz Kruński, Marian Kukiel, Jan Kunert, Stanisław Kuniczak.

Stefan Legeżyński, Stanisław Lis, Mieczysław Lisiewicz, Teodozja Lisiewicz, Stefan MękarSKI, Kazimierz Moneta K. Ney, Władysław Opolski, Jan Ostrowski, Jadwiga Paczyńska, Kazimierz Papee, Stanisław Parol, Mieczysław Paszkiewicz, Jerzy Paszkowski, Wiesław Patek, Henryk Piątkowski, Stanisław Piękut, Ryszard Piętrzyński, Aleksandra Piłsudska, Józef Płoski, Tadeusz Podgórski, Porucznik Stefan Polan, Polonius, Józef Poniatowski, A. Pragłowski, Feliks Przebiegły, Zofia Przewłocka.

Edward Raczyński, Michał Radio, Rawicz, Stanisław Reychan, Jerzy Roman, Klemens Rudnicki, Tadeusz Rzewuski, Kazimierz Schleyen, Kazimierz Sielakowski, Sławoj Składkowski, Irena Sas, Michał Sokolnicki, Seweryn Sokolowski, Zdzisław Stahl, Władysław Stanisławski, Staszka, Wojciech Stefański, Wiesław Strzałkowski, Sylwia, Antoni Szachowski, Zdzisław Szczerbiński, Władysław Szołmański, Anna Świerżawska, H. Tański, Tadeusz Alf-Tarczyński, Jan Tokarski, Andrzej Tomicki, Narcyz R. Turulski, Kazimierz Tylko.

Halszka i Kazimierz Vincenz, Stefan W. Wojstomski, Edward Wojtczak, Stefan Wóycicki, Stefan Wyżynyński.

Zygmunt Lubicz Zaleski, Paweł Zarembo, K. Zeleńko, W. T. Żegota, Olga Zeromska, Helena Turkowska.

NA WYCZERPANIU

NAJNOWSZA HISTORIA POLITYCZNA POLSKI (tom III-ci — 912 stron)

Władysława Pobóg-Malinowskiego

OSTATNIE egzemplarze w cenie 50/- do nabycia w GRYP PUBLICATIONS LTD. 171, Battersea Church Rd., London, S.W.11 i we wszystkich księgarniach polskich

PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

HASKOBA LTD

121, ERLS COURT ROAD, LONDON, S.W.5. FRE 7888

PACZKI WOLNE OD CŁA

JANUSZ JASIEŃCZYK

RECENZJA

Pseudopowieść o skrzywdzonym żandarmie

Istnieje wiele definicji powieści. Różnią się w szczegółach, ale wszyscy teoretycy i historycy literatury są zgodni, że powieść to długi fikcyjny utwór prozaiczny. Fikcyjny, a za tem opisujący osoby, wydarzenia i sytuacje wymyślone, świat anglosaski nie odczuwa zresztą potrzeby definicji powieści: określa ją precyzyjnie sama nazwa „fiction” — fikcja, zmyślenie.

Inaczej popularny, a nawet tłumaczony na obce języki (co sam skrupulatnie podkreśla) prozaik polski Józef Mackiewicz. Swoją ostatnią kolosalną (664 str.) utwór pt. „Sprawa pułkownika Miasojedowa” nie tylko opatrzył podtytułem „powieść”, ale zarówno w przedmowie jak i w posłowie zapewnia czytelników, że mają do czynienia z powieścią, albo — jak powiada na końcu książki — „przede wszystkim z powieścią”. Czyny to wbrew własnemu wyjaśnieniu, że chodzi tu o opis rzeczywistej sprawy niejakiego Sergiusza Miasojedowa, pułkownika żandarmerii carskiej, którego upatrzone sobie w początkach pierwszej wojny światowej za kozła ofiarnego w związku z kleskami armii rosyjskiej w Prusach Wschodnich i którego sądowo zamordowano jako rzekomego szpiega (wraz z paroma innymi niewinnymi ludźmi). Mackiewicz przytacza w swej książce mnóstwo dokumentów opatrzonych numerami dziennika, datami i podpisami osób, które istniały i zajmowały wysokie stanowiska państwowe i których nazwisk nawet nie zmienia. Innymi słowy informuje czytelników, że opisanych osób, faktów ani sytuacji nie wymyślił, lecz zaczerpnął je z źródeł historycznych (których zresztą, z wyjątkiem jednego, nie wyciła). A jednocześnie twierdzi, że stworzył „powieść”.

Oczywiście Mackiewicz miał pełne prawo napisania takiej książki. Gatunek beletrystyczny reportażu historycznego jest dosyć stary i obecnie przeżywa — zwłaszcza we Francji — swój literacki i czytelnicy renesans. Istnieje też w krajach komunistycznych teoretycznie niewiele różniących się od takiego reportażu powieść socrealistyczna, którą miałem możność scharakteryzować w moich studiach krajowych. Wielką wadą obu tych pół-literackich podgatunków jest zatarcie granicy pomiędzy elementami fikcyjnymi i rzeczywistymi. Czytając tego rodzaju pracę odbiorca musi często zadawać sobie pytanie co mianowicie autor zaczerpnął z dokumentów lub innych źródeł, a co dodał do siebie. W rezultacie pseudopowieść zazwyczaj nie ma ani wartości rzetelnego opisu historycznego, ani intuicyjnego wglądu, jak jest domeną twórczej wyobraźni artystycznej.

Ale, powtarzam, każdemu wolno pisać pseudopowieści. I nie można wymagać, aby każdy pisarz interesował się teorią literatury i definicjami gatunków literackich, czy subliterackich. Reymont był małym urzędnikiem kolejowym i człowiekiem ponoć niezbyt inteligentnym ani czytelnym, a jednak stworzył arcydzieło i dostał nagrodę Nobla. Ale przykre wrażenie robią uporczywe zapewnienia Mackiewicza o „powieściowości” jego miasojedowej kolumbryny. Gdy pisze: „Książka nie jest studium historycznym. Jest powieścią o tym co było” — natychmiast nasuwa się bardziej plastyczne sformułowanie: „macie tu oto ośelkę masła: zrobiłem je ze smalcu”.

Nawiasem mówiąc dziwną ironią musi się wydać fakt, że przysięgły wróg komunizmu i wszystkiego do komunizmu Józef Mackiewicz, którego nie podejrzewam o wzorowanie się na pseudopowieściach historycznych francuskich, pisząc już drugą własną „pseudopowieść” — bo i „Kontra” zalicza się do tej samej rodziny — myślowo i artystycznie, choć nie ideowo, wpadł w sidła pseudopowieści socrealistycznych.

Powiedziawszy co trzeba było powiedzieć o stronie formalnej, możemy się zająć samym utworem jako lekturą. Oczywiście, było by znacznie lepiej, gdyby pseudopowieść Mackiewicza była utrzymana w rozsądnych, nowoczesniejszych i bardziej odpowiadających możliwościom czasowym czytelnika rozmiarach 200 stron, zwłaszcza że doczepiona do „Sprawy Sergiusza Miasojedowa” „Sprawa Klary Miasojedowej” niewiele ma wspólnego z interesującą autora fabułą, czy problemem. Ta książka to wóz ciężarowy

z przyczepką. Osoby, które niekiedy nie zglądziły głównego bohatera, w przyczepce już nie jada, a losy, szarej zresztą Klary (choć ożywia się nieco na starość) nie bardzo usprawiedliwiają poświęcenie tej kobiecie dalszych 172 stron druku.

Mimo to przyznaję, że na ogół książkę czyta się lekko i przyjemnie — głównie chyba dzięki znakomitemu wstawkom niewątpliwie fikcyjnym: opisom przyrody, miast, pogody, ptaków i zwierząt. W tej dziedzinie Mackiewicz jest dużej klasy artystą. Jego zjednoczenie z przyrodą, z ziemią jest doskonałe i wyraża się pięknym i celnym słowem. Oto kilka przykładów:

Na Białorusi „wsię długie, jakby splecione z szarego powroza” (str. 251), „że myśli obsiadają mózg jak czarne kawi kopułę cerkwi” (str. 263), albo: „mało, bardzo mało radości chodzi po świecie, a przy tym nikt nie wie, którą ulicą” (str. 407), lub piękne obrazy i opisy rzeki i ulic na stronach 433 i 514.

Tak nie mam najmniejszej wątpliwości, że Józef Mackiewicz — w odróżnieniu od swego brata — jest wybitnym poetą przyrody i tego, co z niej niejako organicznie wyrasta. Gdyby zamiast zajmować się — monotonnie, jednorodnie — zjawiskami politycznymi, poświęcił więcej czasu utworom związanym z zoologią i może w ogóle biologią, to mógłby łatwo stać się drugim Adolfem Dygasińskim. Gorzej natomiast zajmować się — jak to robi — nie wiem czy to wina przestudiowanych przez autora materiałów, czy niedowład — skądinąd tak wybitnego — talentu, dość, że jego ludzie to osoby raczej szare, nieciekawe i płaskie, papierowe.

Główny bohater Miasojedow? Prawie nicość. Ot, żandarm, kacap jakich tysięcy, stupajka, karierowicz, prawie łapownik. Inteligencja nie grzeszy, choć ma swój sprycik i potrafi nieźle sprzedać swoje wpływy wynikające z zajmowanej posady. Odważny, owszem, na wojnie nie tchórzy, ale ostatecznie trudno oczekiwać tchórzostwa od zawodowego wojownika. W co wierzy, co kocha, komu, czy czemu chce służyć? Nie bardzo wiadomo. Jego nagie, psychologicznie niczym nie przygotowane zdemaskowanie w sądzie prowokacji Ochrany na granicy niemieckiej przychodzi na kartkach książki jak deus ex machina. Dlaczego to zrobił? Żeby się odegrać na konkurencyjnej gałęzi policyjnej? Przez przekór? Przez wrodzoną uczciwość, jakiej poza tym nie wykazywał wiele? Nie wiadomo — tajemnica. I dlatego ten ponury, raczej antypatyczny żandarm miał takie szalone powodzenie u kobiet? Bo przecież sam fakt, że stał się później ofiarą ohydnych spisków i został powieszony, nie stwarza domniemania, że był kryształowym, ciekawym i uroczym człowiekiem.

Podobnie przedstawia się sprawa z innymi bohaterami i bohaterkami: szare, zaledwie naszkicowane sylwetki. Wiadomo mniej więcej co robią, ale dlaczego, z jakich zakotwiczonych w nich samych, tych najgłębszych pobudek — zgaduj zgadula. A już sceny „miłosne” pseudopowieści graniczą z nieudolnością — ta strona życia zdaje się autora zupełnie nie interesować.

Mimo wszystkich tych cech, czy niedoborów w opisie ludzi w książce, Mackiewicz zapewnia w przedmowie, że sprawa Miasojedowa jest nadzwyczaj ciekawa i zapytuje:

„Jak to się stało, że sprawa Dreyfusa” doczekała się tak wielu pozycji książkowych, podczas gdy analogiczna sprawa Miasojedowa” odeszła w niepamięć, mimo iż była pod wieloma względami, po prostu, od tamtej — ciekawsza?”

Pseudopowieść Mackiewicza nie daje odpowiedzi na to pytanie. Zresztą odpowiedź nie wydaje się tak bardzo trudna Cesarstwu rosyjskiemu, którego — ilościowo bardzo nieliczna — elita uknuła całą tę sprawę, przestąpiła istnieć. Zastąpiło je państwo komunistyczne, jeszcze niekzenniejsze i tak zajęte swymi sprawami — m. in. insecinowaniem podobnych afer na daleko większą skalę — że nie dba — przynajmniej narazie — o pranie carskich brudów.

A porównywanie „Sprawy Miasojedowa” ze „Sprawą Dreyfusa” — to grube nieporozumienie. Wielkość i wyjątkowość sprawy Dreyfusa polegała nie na tym, że kilku niekzenników zrobiło z niego kozła ofiarnego po

przegranej wojnie z Prusami (podobne rzeczy dzieją się wszędzie i stale), lecz na tym, że na „J'accuse!” wielkiego pisarza zbudziło się sumienie elity społeczeństwa i że Dreyfusa zrehabilitowano. Zresztą on sam był postacią o wiele wybitniejszą od Miasojedowa (takiego, jakim go maluje Mackiewicz). Zapewnienia w przedmowie, jakoby sprawa Miasojedowa była ciekawsza, wyglądają wprost na reklamę. Gdy reklamę robi wydawca (było nie zbyt krzykliwe) — w porządku. Ale nie autor.

Józef Mackiewicz jest pisarzem zbyt dużej klasy („Droga do nikąd”), by można było zbyt ogólnikami sprawę jego języka. Są w książce partie, w których język ten mieni się wszystkimi blaskami artystycznej polszczyzny. Są miejsca na poziomie dobrego dziennikarstwa. Ale mamy też w pseudopowieści Mackiewicza zbyt wiele rusycyzmów, prowincjonalizmów, a nawet zwykłych błędów stylistycznych, gramatycznych i ortograficznych. Nie wysilając się na czytanie całej książki przy biurku, w pozycji siedzącej i wygodnej do robienia notatek wynotowałem jednak od niechcenia czterdzieści językowych potknięć lub zwykłych błędów. Oto niektóre z nich:

Str. 31 — stacja kolejowa „przelotna” — zamiast przelotowa; autor musi wiedzieć o przelotnych ptakach.

Str. 48 — „swąd” zamiast „smród” (swąd — to tylko produkt spaleniowy).

Str. 62 — „Pokój oddawał chłodnym nieporządkiem i zastałym wyzywem alkoholu” (rusycyzm? prowincjonalizm?).

Str. 78 — „ubrylantynowane niebo” (autorowi chodzi zapewne o brylanty, a nie o brylantyne, znaną masę na włosy).

Str. 110 — „dziecinna kolaska” (zamiast kołyska — kolaską się jeździło, kołyska jest dla dzieci).

Str. 116 — „Personalnie niczego nie twierdzić” (zamiast oświadczyć).

Str. 124 — „A oto nie będziemy się spierać” (zamiast o to).

Str. 190 — „Miasojedowa traktowano powszechnie za człowieka” (zamiast jako człowieka) itd. itd. — udokumentowałem sobie 40 podobnych przypadków

Autor bardzo często lekceważy polskie czasowniki zwrotne pisząc np. „Nie przypominam” (sobie opuszczone), „opanował” (się opuszczone), stwarza nieistniejące w przepisach Akademii zrosty — jak dziwaczne „masierozumieć” (czyżby wpływ samsterstaendlich?), „nadwyraz” — i używa słów zupełnie niezrozumiałych dla przeciętnego Polaka — zapewne gwarowych — i to nie w dialogach (co zawsze wolno), lecz w tekście odautorskim. Dopiero na str. 592 wykryłem na przykład, że tajemniczy potworek „przylipla” znaczy mniej więcej „przyłgnęła” (w innych miejscach także „przykleić się”).

Może mi ktoś zarzuci, że jestem pedantem, że pisarz jest prowadzącą języka, że wreszcie nie istnieje taka rzecz jak „Kings Polish”, albo „hoch-polskich”. Może być. Ale przyjęło się powszechnie, że pisarze — zwłaszcza na emigracji, która ma i tak potworne problemy językowe — stosują się do obowiązującej ortografii Akademii Krakowskiej (uchwały z 20 i 21 kwietnia 1936), do naszych świetnych słowników języka polskiego, do rad Dorosłowskiego, a nawet pocziwego Szobera. Bo pisarstwo — to przecież tylko układanie słów istniejących i należących do danego języka, albo czasem nieśmiało tworzenie (powiedziałbym „proponowanie”) nowych na oznaczenie nowych przedmiotów i pojęć. Tworzeniem neologizmów bez konkretnej potrzeby lub wprowadzaniem do języka prowincjonalizmów zajmowali się dotychczas na ogół tylko geniusze. Na to nie wystarczy być Mackiewiczem — ani Józefem, ani Stanisławem. Trzeba być Adamem Mickiewiczem. A swoją drogą zawinił tu i wydawca. Wszak istnieje — i doskonale spełnia swe zadania w wielu kulturalnych społeczeństwach — taka instytucja jak redaktor książki.

Swą lekko, ale z pewnością pośpiesznie napisaną pseudopowieść kończy Mackiewicz naprawdą świetnym i wstrząsającym opisem dywanowego bombardowania przez aliantów Drezna. Podaje liczbę zabitych na 350, do 400.000.

Oczywiście, była to straszna sprawa — z tej samej kategorii, co kom-

pletne zniszczenie przez Amerykanów prestarożytności św. Benedykta na Monte Cassino, który Niemcy obsadzili dopiero po bombardowaniu — zjawisko tak prawie przerażające jak zburzenie Warszawy, jak cała ostatnia wojna. Ale nie bardzo możemy — w „powieści” — ufać wiarygodności informacji pozbiieranych przez autora, zwłaszcza danym cyfrowym co do zakresu operacji.

I wreszcie, czy raczej ponad wszystko: dziwnie wygląda rozpatrywanie i osadzanie tego zjawiska w oderwaniu od historycznego kontekstu. Bo przecież, na miłość boską, każdemu — nie tylko Polakowi — muszą się zaraz nasunąć skojarzenia: dlaczego i po co, w jakim celu bombardowano Drezno?

Trudno tu, a nawet nie potrzeba odpowiadać na pierwsze pytanie. A co do drugiego, to wydaje się, że Drezno padło pod bombami między innymi i po to, aby pan Józef Mackiewicz mógł po latach spokojnie mieszkać i pracować w innym niemieckim mieście bez obawy, że zbyt długo zbrodniczy (czy paranoiczny), a dziś już podległy naród zamknie go w obozie koncentracyjnym lub spali żywcem w krematorium.

POŁKA

KSIEGARSKA

HISTORIA SZTUKI POLSKIEJ W ZARYSIE. Praca zbiorowa w 3 tomach pod red. Tadeusza Dobrowolskiego i Władysława Tatarkiewicza. Autorzy: H. Blumówna, A. Bochnak, G. Ciołek, T. Dobrowolski, J.E. Dutkiewicz, S. Herbst, Z. Hornung, J. Lepiarczyk, T. Mańkowski, W. Molé, L. Niemojewski, K. Piwocki, S. Sawicka, J. Szablowski, W. Tatarkiewicz, T. Tolwiński, J. Zachwatowicz, T. I. Szuka średniowieczna — str. 512; t. 2 Szuka nowożytna — str. 489, 3 nłb.; t. 3 Szuka nowoczesna — str. 488. Wydawnictwo Literackie. Kraków 1962. Nakład 10 253 egz.

Geneza tych trzech tomów jest interesująca. Zostały one — jak pisze redakcja w przedmowie — przygotowane pod redakcją prof. Tatarkiewicza w pierwszych latach po wojnie i już przed 1950 r. były gotowe do publikacji jako XIII tom Encyklopedii Polskiej, wydawanej przez Polską Akademię Umiejętności. Ale — pisze redakcja — „w związku z likwidacją tej instytucji naukowej tom ten nie mógł się już ukazać”. Jest to wyznaczenie ważne, bo ujawnia, że książka nie mogła się ukazać z przyczyn pozanaukowych w okresie reżimu Bieruta. Inicjatywę wydania podjęto dopiero w 10 lat później, co spowodowało nieuniknione zmiany w układzie i wykładzie książki. Książka, która w swym zasadniczym zrebie stanowi dorobek naukowy Polskiej Akademii Umiejętności, zburzonej przez komunistów, została uzupełniona i przeredagowana, przy czym redakcję tego jak gdyby „drugiego wydania” objął T. Dobrowolski.

Książka jest pierwszym większym syntetycznym opracowaniem historii sztuki polskiej. Redaktorzy z uznania godnym obiektywizmem podkreślają olbrzymi dorobek naukowy historyków sztuki polskiej od połowy XIX stulecia, w szczególności zawarty w „Sprawozdaniach Komisji Historii Sztuki” PAU, w wydawnictwach lwowskich, wileńskich, poznańskich oraz warszawskich. Są one „kopalnią szczegółowych wiadomości, informacji faktycznych oraz zbiorom monografij, o poszczególnych zabytkach, zespołach zabytków i artystów”. Słowem, bez tego, wiek z górą trwającego wysiłku indywidualnego i zbiorowego — praca, o której mowa, nie mogłaby powstać, a opóźnienie w ukazaniu się syntetycznego opracowania powodował właśnie „nadmiar materiału trudny do opanowania”.

W „Historii sztuki polskiej” obok architektury, rzeźby i malarstwa uwzględnione zostały również dzieje sztuki ludowej, urbanistyki, budownictwa drewnianego, grafiki i rzemiosła artystycznego. Publikacja jest dziełem 17 pracowników naukowych. Jej zakres przekraczał bowiem kompetencje jednego badacza. Zbiorowość wysiłku zaangażowała na charakterze książki, z czego redakcja zdaje sobie sprawę. „Praca zbiorowa w dziedzinie nauki — czytamy w przedmowie — ma swoje wielkie zalety, ale stwarza też trudności, zwłaszcza w osiągnięciu jednolitego charakteru publikacji”. Próbę ujednolicenia różnorodnych tekstów podjął z ramienia redakcji profesor historii sztuki nowoczesnej w uniwersytecie jagiellońskim T. Dobrowolski.

Zadanie autorów książki ograniczone zostało w zasadzie do zgromadzenia materiału faktycznego i jego usystematyzowania. Książka nie rezygnuje jednak z interpretacji faktów zarówno artystycznych, jak i pozaartystycznych, lecz towarzyszących powstawaniu dzieł sztuki. W szczególności nie przemilcza gospodarczych, polityczno-społecznych i ogólnokulturalnych podstaw sztuki „celem przypomnienia, że nie jest ona zjawiskiem autonomicznym, lecz częścią życia społecznego”.

Stopień rzetelności tej interpretacji mogą ocenić przede wszystkim rzeczoznawcy. Jako nie rzeczoznawca mogę tylko wyrazić zgodę np. na niezaliczenie tzw. Pałacu Kultury w Warszawie do dzieł architektury polskiej i do dzieł sztuki w ogóle, a tylko przyznania mu (przez T. Tolwińskiego, t. 3 str. 167) roli „głównego akcentu wysokościowego stolicy”. Nie rozumiem natomiast „interpretacji” prof. T. Dobrowolskiego, że „prowadzona przez Zachód zimnowojenna polityka i masowa produkcja broni nuklearnej nie mogła nie pozostać bez wpływu na umysły ludzkie i wyobraźnię artystyczną” (t. 3, str. 160). Jeśli bowiem przyjmujemy istnienie wpływu „zimnowojennego” na sztukę, to należy go co najmniej geograficznie sprawiedliwie podzielić. Słusznie natomiast podkreśla prof. Dobrowolski krótkotrwałość narzuconego z Moskwy wpływu tzw. socrealizmu w Polsce (od 1950 do 1955 r.) „uzasadnianego przy użyciu pojęć estetyki marksistowskiej”.

Z uznaniem należy podnieść obserne uwzględnienie życia i zabytków sztuki na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej w „Historii” i to zarówno w tekstach prac dotyczących architektury, malarstwa, rzeźby czy rzemiosła artystycznego, jak i w obfitym materiale ilustracyjnym. Jako lwowianin doznawałem niemałej satysfakcji czytając teksty i oglądając ryciny dotyczące Lwowa i ziem południowo-wschodnich. Sądzę, że zastępie w tym względzie należy m.in. przypisać autorom — lwowianom, a więc H. Blumównie, J. Hornungowi i sp. T. Mańkowskiemu. Wątpliwości merytoryczne nasuwają się, gdy autorzy inni (np. J. Szablowski, t. 2, str. 766) podkreślają wpływy Wschodu na sztukę Lwowa. Czytelnik (zwłaszcza młody) może te wpływy utożsamiać z wpływami rosyjskimi, których nie było, bowiem mowa może być tylko o wpływach orientalnych (tak zwykle określa je Mańkowski), tzn. o wpływach, płynących z Bliskiego Wschodu i wtopionych w polskie oblicze miasta.

Autorzy książki „pragnęli uwzględnić w sztuce polskiej z jednej strony jej różnorodność, ale z drugiej także jej jedność”. Pragnęli „uwytknić także wartości tradycyjne w sztuce polskiej, jej żywość i żywotność, zmienność i zdolność do przyjmowania coraz to nowych postaci, zawsze jednak zgodnych z układem psychicznym i świadomością polskiego społeczeństwa”.

Każdy tom zawiera przy końcu bibliografię indeks osób i spis ilustracji. Bibliografia uderza szczegółową dokładnością w każdej dziedzinie sztuki (w t. 1 — str. 25, w t. 2 — str. 20, w t. 3 — str. 20). Niemniej bogaty (choć nie zawsze czysty) jest materiał ilustracyjny (w t. 1 — 298 rycin, w t. 2 — 280, w t. 3 — 260).

Sygnalizując ukazanie się pierwszej właściwej „Historii sztuki polskiej”, należy ocenić merytoryczną wartość książki pozostawić fachowcom. Nie należy wątpić, że nasi historycy sztuki na emigracji takiej oceny dokonają. W Polsce „Historia” spotkała się z niejedynym głosem krytycznym, ale dziesięciotysięczny nakład jej, sprzedany „spod lady” rochwytny został dosłownie w ciągu kilku dni. Książka spotkała się z określeniem „naukowego bestsellera” („Tygodnik Powszechny”, nr. 48 z dn. 2. 12. 1962).

S.M.

Czytaj polską książkę

BILETY,
SPROWADZANIE RODZIN
Z POLSKI

ANGLOPOL
TRAVEL

Tel. FRE 1155

121, Earls Court Rd., London, S.W.5

*) Józef Mackiewicz, „Sprawa pułkownika Miasojedowa”, B. Świderski.

W dniu 27 sierpnia 1962 roku Amerykanie wystrzelili ku Wenus satelitę „Mariner II” (por. „Strzał ku Wenus”, „Orzeł Biały” Nr 36/1052). W dniu 14 grudnia „Mariner” przeleciał obok Wenus na odległość zaledwie 21,600 mil, a więc jedenaście razy bliżej, niż księżyc jest od ziemi. Odległość Wenus od ziemi wynosiła w tym dniu niewiele mniej, niż 36 milionów mil, droga jednak, jaką przebył „Mariner” była dłuższa (180 milionów mil), gdyż — lecąc w polu grawitacyjnym słońca — nie biegł on po linii prostej, lecz po łuku.

Cała ta 109 dni trwająca podróż najeżona była przeszkodami, stanowi więc pasjonującą przygodę, w której rzeczywistość jak gdyby, uwzięta się, konkuruje z fantazją pisarza tak przecież wysokiej wyobraźni, jak Juliusz Verne. Jak już pisałem we wspomnianym artykule „Strzał ku Wenus”, sam wystrzał rakiety nie odbył się bezbłędnie. Urządzenie stabilizujące toczące się po torze rakiety pierwszego członu działało wadliwie, skutkiem czego kierunek początkowy „Marinera” odchylił się o jedną piątą stopnia od zamierzonego. W wyniku tej wady najbliższa odległość od Wenus wyniosła nie 10,000 mil, jak zamierzano, ale 250,000 mil. Na szczęście jednak konstruktorzy satelity prze-

TADEUSZ FELSZTYN

ZASŁONA WENUS ODCHYLONA

widzieli tę ewentualność i wbudowali weń odpowiednie urządzenia, które mogły — na sygnał z ziemi — poprawić jego tor.

Ta delikatna operacja rozpoczęła się w dniu 4 września. Na sygnał z ziemi uruchomione zostały małe rakiety stabilizujące, napędzane strugą azotu. Po godzinie, gdy położenie satelity na torze było już właściwe, na sygnał z ziemi uruchomione zostały żyroskopy, utrzymujące kierunek lotu i wyrzucona została z wnętrza satelity antena nadawcza. Po następnej godzinie sygnał z ziemi nakazał ostateczny, najtrudniejszy manewr: przyjęcie takiego położenia, aby baterie słoneczne skierowane były ku słońcu, umożliwiając w ten sposób ładowanie akumulatorów stacji nadawczej, a antena zwróciła się ku ziemi. Równocześnie uruchomiona została rakietka pomocnicza, która zwiększyła szybkość lotu rakiety o 45 mil na godzinę. Manewr ten nie trwał długo: po 38 sekundach położenie rakiety było już właściwe, a szybkość (na odległości 1,492,600 mil od ziemi) zgodna z przewidzianą, a mianowicie 6,691 mil na godzinę.

Zdawałoby się, że wszystko jest już nareszcie w porządku i że trzeba tylko spokojnie oczekiwać, aż satelita dojdzie w pobliże Wenus. Najgorsze jednak miało dopiero przyjść. Ci, którzy czytali Vernego „Podróż dookoła księżyca” pamiętają, jak to duży bolit, przelatując w pobliżu pocisku na księżyc, zmienił kierunek lotu. „Marinerowi” przydarzyła się przygoda jeszcze gorsza: w dniu 8 września, w fatalnym trzynastym dniu po wystrzale, trafił go mały mikrometeor. I choć, jak to wynika z obliczeń, waga jego była mniejsza, niż jeden gram, uderzenie było tak silne, że odchyliło kierunek lotu „Marinera” o trzy minuty, a równocześnie spowodowało jego gwałtowne kołysanie się na torze. Na szczęście mikrometeor ten nie uszkodził żadnego z wewnętrznych urządzeń „Marinera”, tak że jego samoczynne urządzenia sterujące zdołały naprawić kierunek jego lotu i znów ustabilizować go na torze.

Po tym triumfie przyszły jednak nowe troski: w dniu 10 października o-

kazało się, że szybkość lotu „Marinera” jest o dwie mile na godzinę za duża. Pozornie jest to bardzo mało w porównaniu do szybkości kilku tysięcy mil na godzinę na tej odległości, wystarczy jednak, aby „Mariner” przyszedł na spotkanie Wenus nieco za wcześnie, skutkiem czego początkowo planowana odległość spotkania (10,000 mil) się podwoiła. Nie jest to jednak żadna katastrofa, gdyż i tak odległość ta jest dość bliska dla dokonania zamierzonych pomiarów i obserwacji.

Nie na tym jednak koniec kłopotów. W październiku jeden z dwu jego zespołów baterii słonecznych nagle przestał działać, zmniejszając do połowy energię jego stacji nadawczej. Po kilku dniach jednak, z niewyjaśnionych dotąd przyczyn, zaczął działać ponownie tak że w dniu 25 listopada „Mariner” pobił rekord swego poprzednika, „Pioneer V”, nadając sygnały radiowe z odległości ponad 22 i pół miliona mil. Warto może dodać, że był to rekord amerykański: Rosjanie nie przekroczyli dotąd odległości 4 i pół miliona mil, jako największej odległości odbioru sygnałów radiowych satelity.

W cztery dni później jednak radość pokonania rekordu zamąciły nowe wieści. Zbliżając się do Wenus wchodził „Mariner” coraz bliżej słońca. A wiemy, że to zблиżenie nie jest zbyt bezpieczne: Dedalowi i Ikarowi zbytnia bliskość słońca stopiła wosk skrzydeł, a w „Marinerze” temperatura wewnętrzna baterii z elektrodami z cynku i srebra wzrosła do 116 stopni F. (48 stopni C.), blisko już granicy, do której wytrzymałość cieplna tych baterii była obliczona. W kilka dni później temperatura wzrosła do 129 stopni F. (54 stopni C.), 9 stopni F. ponad przewidzianą granicę. Gdyby baterie te miały zawiąść część programu obserwacji Wenus byłaby odpadła, gdyż potrzebną energię miały one czerpać właśnie z tych baterii. Pozostałyby jednak baterie słoneczne, mocy 155 watów, które by wystarczyły aby przeprowadzić najistotniejsze pomiary: składu atmosfery i temperatury Wenus. Gorzej byłoby, gdyby na sku-

tek zbyt wysokiej temperatury baterie te miały pęknąć, mogły bowiem uszkodzić delikatne urządzenia elektronowe wewnątrz satelity, niweczając całe przedsięwzięcie.

Nie dziw więc, że Amerykanie oczekiwali dnia 14 grudnia z drżeniem serca. W dniu 11 grudnia angielski radioteleskop w Jodrell Bank złapał co prawda sygnały radiowe „Marinera” i odbierał je regularnie przez dziewięć godzin co będzie jednak za trzy dni?

Początkowo dzień 14 grudnia rozpoczął się fatalnie: dwukrotne sygnały nakazujące uruchomienie przewidzianych planem pomiarów i obserwacji zawiody. Nareszcie trzeci z kolei sygnał dokonał zadania: z „Marinera” zaczęły napływać oczekiwane sygnały, podając zakodowane wyniki pomiarów. Trwały one tylko 42 minuty, dla obserwatorów jednak w laboratorium w Pasadena, w Kalifornii, gdzie sygnały te będzie się analizować, brzmiały one jak muzyka sfer. „Słyszmy koledy z Wenus” zawołał jeden z nich z entuzjazmem.

Siła ciężenia Wenus znów zmieniła tor „Marinera”, przemieniając go w nową planetkę, okrążającą słońce. Dośzedł on do swego punktu przysłonecznego (najbliższy słońcu punkt toru) w dniu 27 grudnia, po czym począł go okrążyć torem eliptycznym. Jak długo jeszcze będzie nadawać sygnały, nie wiadomo. Optymiści amerykańscy oczekują, że jeszcze z podwójnej odległości (72 miliony mil) będzie je można odbierać. Czy oczekiwania te się spełnią, nie wiemy.

Cokolwiek jednak by nie było, zadanie swe „Mariner” wykonał z należytą dokładnością na naukową analizę wyników pomiarów „Marinera” trzeba jeszcze trochę czekać, już dziś wiemy, że nawet po drodze zebrał on bardzo cenne informacje o stanie przestrzeni międzyplanetarnej pomiędzy orbitami ziemii i Wenus. Pierwsze informacje na ten temat dał już „Pioneer V”, wystrzelony w dniu 11 marca 1960 roku, jak to jednak z robotem bywa, mógł on odpowiedzieć tylko na te pytania, które przewidział jego konstruktor. Jedynie człowiek może, gdy zauważy jakies zja-

wiska nieprzewidziane, zmienić kierunek swych obserwacji. Siłą rzeczy więc „Pioneer V” pozostawił cały szereg zagadek nierozwiązanych, na które odpowiedzieć miały dopiero pomiary „Marinera”. A dowiedzieliśmy się z nich już bardzo wiele. „Mariner” zdołał pomierzyć nasilenie pyłów kosmicznych pomiędzy ziemią i Wenus, wykazując, że zdala od ziemi są one tysiąc razy mniej gęste, niż w jej pobliżu. Zdołał on potwierdzić przypuszczenie astronomów, że t.zw. „wiatr słoneczny”, t.j. strumienie elektrycznie naładowanych cząstek (głównie jąder wodoru t. j. protonów), jakie słońce wyrzuca ze siebie, jest nieomal równomierny we wszystkich kierunkach, skutkiem czego ziemia nie krąży dokoła słońca w próżni, ale w rozrzedzonej atmosferze bardzo gorącego wodoru. Fakt ten ma duże znaczenie nie tylko dla poznania mechanizmu pracy silnika słonecznego, ale również gruntownie zmienia i nasze pojęcia o przyczynach zjawisk meteorologicznych na ziemi. Wreszcie „Mariner” zdołał zarejestrować pola magnetyczne w przestrzeni międzyplanetarnej, niezmiernie ważne dla zrozumienia istoty naszego układu słonecznego, szczególnie obecnie, gdy siłom magnetycznym przypisują astronomowie znacznie większe znaczenie, niż kilka jeszcze lat temu.

Najważniejszym jednak wynikiem pomiarów „Marinera” będą jego obserwacje Wenus. O ile „Mars” z męską odwagą odsłania swe oblicze, tak że satelita, wystrzelony w jego pobliże, będzie miał na celu jedynie odczytanie zmarszczek na jego twarzy z bliższej odległości, to Wenus, z kobiecą kokieteryą, zasłoniła swe oblicze welonem gęstych chmur. Właściwie więc o niej nie wiemy. Czy obecne pomiary zasłone tę odsłonią, o tym dowiemy się dopiero, gdy ogłoszone zostaną ich wyniki. Prawdopodobnie, jak to zwykle bywa z tego rodzaju pomiarami, postawią one raczej co najmniej tyle pytań, ile ich rozwiązań. W każdym jednak razie, jeśli zasłona Wenus nie została jeszcze całkowicie odsłonięta, niewątpliwie została już uchylona i śmiało można powiedzieć, że dzień 14 grudnia 1962 dał nam znacznie więcej

POMNIK TYSIĄCLECIA W BIRMINGHAM

Parafia polska w Birmingham może być dumna ze swego osiągnięcia. Poświęcone w grudniu ub. r. Polskie Centrum Katolickie, zbudowane według projektu inż. Stanisława Polujana, a z dobne charakterystyczną rzeźbą Matki Boskiej z Dzieciątkiem, dłuta Tadeusza Zalińskiego, w pełni zasługuje na miano pomnika tysiąclecia Polski chrześcijańskiej, co było celem fundatorów i ofiarodawców.

Budynek wznosi się w centrum przebudowującego się miasta. Ma nowoczesny styl i nowoczesne urządzenie wnętrza. Duża sala teatralna ma pojemność 400 osób; Zdobia ją Krzyż z Męką Pańską, Orzeł Biały i herby ośmiu miast polskich: Warszawy, Krakowa, Poznania, Gdańska, Wilna, Lwowa, Wrocławia i Szczecina. Dwa inne pietra zajęte są na świetlice, restaurację, klub, pokoje użytkowe i dość zasadniczą placówką handlową — sklep kontynentalny. Ogólny koszt budowy przekroczył imponującą cyfrę £. 32.000. Ale może jeszcze bardziej imponuje co innego: dalekosiężny plan tego osiągnięcia i wytrwałość w jego realizacji, boć przecież projekt powstał już w r. 1952. Świadczy to wymownie, że Polacy w Birmingham planują swą przyszłość, a przewodnik parafii ks. dziekan Franciszek Kącki umie wytknąć swym parafianom dalekosiężne cele.

Sama uroczystość poświęcenia miała imponujący przebieg. Mszę u św. Michała Archanioła celebrował opat klasztoru Zgromadzenia Regularnych Kanońników z Kornwalii, ks. White. Kazanie okolicznościowe wygłosił ks. inf. Władysław Staniszewski. Podczas Mszy św. śpiewały chóry polskiego Midlandu pod dyrykcją p. B. Płonki, a miejscowe hufce harcerskie wystąpiły ze swymi sztandarami.

Hasłem rozpoczęcia uroczystości poświęcenia Centrum był hejnał Mariacki odegrany przez p. L. Maczke, po czym inż. Jan Maślanka, przewodniczący Polskiego Koła Katolickiego, powitał zastępcę Lorda Mayor'a Birmingham i licznych gości i przedstawił zarys historii budowy Centrum. Z kolei przemówił zastępca Lorda Mayor'a, zapewniając Polaków o życzliwości i uznaniu władz miejskich, a ks. dziekan Kącki odczytał list ks. prymasa kard. Stefana Wyszyńskiego, który przyjął protektorat nad uroczystością.

Po dokonaniu poświęcenia Centrum przez ks. inf. W. Staniszewskiego podpisano akt erekcyjny a następnie w pięknej sali odbyła się akademie, w której występowały harcerki i harcerze, zespół tańców narodowych KSMP, oraz chóry.

T. J.

SZYBKO I TANIO!
Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
wykonują
ZAKŁADY GRAFICZNE
GRYF PRINTERS (H.C.) LTD
171, Battersea (Church Road)
LONDON, S.W. 11.
Telefon: WA1 0879

JECHALIŚMY dalej spokojnie po autostradzie Varese-Mediolan. Na niej już nie ma namiętnych wysięgów z tubylcami, bo każdy z nich zdaje sobie sprawę do jakiej kategorii należy. Szybszy wóz wyprzedza inne, słabszy przyjmuje to z rezygnacją, bo nie ma tu zakrętów, skrzyżowań czy światła, gdzie kierowca może wykazać swój talent.

Przed Mediolanem zatrzymaliśmy się i zaczęliśmy studiować plan miasta, by go jak najprędzej przejechać i dostać się na Autostrada del Sole, nową autostradę słońca i nią śmignąć przez Bolonię do Florencji. Łatwo powiedzieć, ale trudniej zrobić. Mediolan duże miasto. Wszystko szło dobrze do pierwszej ulicy, która z powodu „lavori” — robót — była zamknięta i musieliśmy wjechać w „deviazione”. A z dewiacjami wiadomo jak to jest, człowiek wie gdzie się zaczęła, ale nie wie dokąd doprowadzi — jak Mieroszewskiego w Kulturze. Postanowiliśmy uniknąć centrum miasta, więc po kilkunastu minutach kluczenia stanęliśmy nos w nos z katedrą mediolańską na Piazza del Duomo, w samym środku. Takiej okazji nie można było pominąć, postanowiliśmy więc zwiedzić tę katedrę, jak by to było w naszym planie podróży.

Marian trochę się wahał, bo co to za katedra, mówił, która nie ma ani jednej wieży. Ja też miałem wątpliwości, czy tę dziwną budowlę można nazwać katedrą, ale ponieważ miała w przewodniku trzy gwiazdki, więc wleźliśmy nawet na dach. Dowiedzieliśmy się, że jej budowę kierowali różni architekci, włoscy, francuscy, niemieccy i nawet Napoleon wtrącił tu swoje trzy grosze (gdzie on ich nie wtrącał...) i kazał wykończyć fasadę w latach 1805-1809. I wszystko to wciąż nazywa się gotyk.

Na dachu jak w mieście, też można się zgubić wśród lasu 135 wieżyczek i 200 figur, które zresztą jak cała katedra, są z białego marmuru. Przewodnik mówi, że to wszystko razem tworzy rzeźbiarńską koronkę. Może, ale jest ona ciężka i przysadzista.

Po zwiedzeniu katedry i po zapaleniu wewnątrz jej świeczki na pomyslenie dalszej podróży, pojechaliśmy dalej. Świeczka pomogła, bo bez trudu

JAN CLAUDE

wyjechaliśmy z miasta i dotarli do autostrady, w czym nam zresztą pomogły zielone wskaźniki, z napisami Autostrada del Sole.

Tutaj włoski nam zaimponowali. Dawne autostrady Mussoliniego mają jedną, nieprzedzieloną jezdnię, ta natomiast ma dwie, każda trzytorowa. Jest wspaniała, ultra nowoczesna i stanowi dowód, że nie tylko totalitarne reżimy mogą takie drogi budować.

Zawstydziliśmy się obaj za Francję, gdzie z Paryża wychodzą dwie drogi, jedna szumnie nazwana „autostradą zachodnią” a druga „południową”. Pierwsza ma ponad 20 km, a druga nie wiele ponad 30, choć na planach przysięściowych jest tych kilometrów bardzo dużo. Tutaj zaś 290 km, doskonałej autostrady i dalszy jej ciąg od Florencji do Rzymu jest w budowie i to rekordowej, nie licząc innych autostrad. Nim Francja do tego dojdzie de Gaulle będzie musiał zrobić nie jedno jeszcze referendum i wprowadzić kilka odmian „ciężkich” franków, bo na razie jest tylko „nowy”, „stary” i zwykły.

Również ze zdumieniem stwierdziliśmy, że we Włoszech benzyna jest tańsza, niż we Francji — 1 litr „superu” 105 lirów, a we Francji 105 starych franków, czyli 105 nowych centymów. A 100 lirów wynosi niecałe 80 starych franków. No cóż, polityka wielkości — de ma Grandeur — kosztuje i bułą automobilistów.

Inna rzecz, która zaskoczyła nas w Mediolanie, to mała ilość słynnych Vesp. Zastąpiły ją małe Fiaticki („500”, „600” i „750”), które kręcą się po ulicach jak pchełki, zajeżdżają z przodu, z boku, miałem nawet wrażenie, że wjeżdżają pod naszą Cytrynę, która w tym towarzystwie wyglądała jak autobus. Jeżdżą szybko i agresywnie, wystarczy zaważyć się przez ułamek sekundy by zajeżdżały drogę, przecięły kierunek i wypróżwały ostrożnego kierowcę w inną stronę świata, niż chce jechać. To też gdy zorientowaliśmy się w tym miejscowym obyczaju,

Marian puł przed siebie, nie oglądając się na prawo ani na lewo. Miałem wrażenie, że chwilami nawet zamykał oczy. Pchełki umykały, robiły uniki, odkaskiwały i ani jednej nawet nie dotknęliśmy. Był to wyraźny cud, przypuszczalnie dlatego, że jechaliśmy na Sobór.

Ale wróćmy do autostrady. Co 20-30 kilometrów znajduje się na niej „Area di servizio” — wielka stacja obsługi, gdzie jest wszystko dla samochodu i dla pasażerów. A więc bar, restauracja, gazety, kiosk miejscowych pamiątek, obok pompy benzynowej i garaży. Budują je różne wielkie firmy benzynowe, w ładnym, nowoczesnym stylu.

Ponieważ tym razem postanowiliśmy zjeść obiad, zatrzymaliśmy się w jednej z nich. Sala restauracyjna jasna, cała oszklona, meble nowoczesne i wygodne. Obsługa sprawną i szybką, znająca obce języki. Można zjeść w 20 minut. Menu za 800 lirów dawało do wyboru zupę albo spaghetti, na drugie danie sztuka mięsa, kotlet cielęcy lub omlet. Do tego ser lub deser i wino w karafce.

Zaiponowały nam gruszki, na które w tym roku we Włoszech jest podobno wyjątkowy urodzaj. Obok nas siedziała starsza para Anglików i on najspokojniej, niemal na oczach kelnera, wsunął dwie wielkie gruchy do kieszeni. Ja to zrobiłem z jedną, ale wiele dyskretniej, nawet Marian nie widział.

Na odcinku między Bolonią i Florencją ta autostrada wprowadziła nas w podziw. W górzystym terenie nad głębokimi dolinami, jeden wielki wiadukt za drugim, tunel za tunelem. To jest wspaniałe dzieło inżynierii drogowej i ci którzy tę autostradę tu w budowali mogą być dumniejsi od konstruktorów sputników czy innych luników. Tu z wdzięcznością podziwiała ją tysiące automobilistów, a tych ostatnich nawet nikt nie widział.

To też z zalem opuściliśmy ją pod Florencją, by wjechać na autostradę

(DROGI DO ITALII — II)

DROGI DO RZYMU

na Pizę. Nie jest to najkrótsza droga do Rzymu, ale poradzono ją nam w Klubie Automobilowym w Paryżu jako najszybszą. Zresztą czyż nie wszystkie drogi prowadzą do Rzymu?

Nie jest ona tak nowoczesna i na ostatnim odcinku przed Pizą nawet dosyć wolna, ze względu na prace na jednej z jezdni, zamkniętej dla ruchu.

Nie wiem jak to się stało, ale słynnej wieży nie widzieliśmy. A szkoda, bo chcieliśmy sprawdzić powieźdzenie mego przyjaciela Ptaszka, który patrząc na nią szeptał z zamysłem: „Co prawda krzywo, ale stoi”.

Od Pizy wjechaliśmy na starą rzymską drogę Via Aurelia. Zmierzch zapadł i wygodna jazda skończyła się. Raz po raz wylaniał się przed nami ciężarowy kolos z olbrzymią przyczepką i przyciskał nas do krawędzi drogi. A najwięcej zabawy było, gdy dwa takie mastodonty zaczęły się wyprzedzać. Trwało to czasami chyba z kwadrans. Droga oczywiście była całkowicie zablokowana i tylko dziwiłem się, że samochody jadące naprzeciw nie wpadały do rowów. W takiej sytuacji nie było co jechać dalej i po przestudiowaniu przewodnika postanowiliśmy nocować w Cecina. Ja miałem uważać, by nie przejechać w nocy tej miejscowości.

Jedziemy i jedziemy, a tej Ceciny jak nie ma tak nie ma. Były jakieś dziury, ale to nie to. Wreszcie gdy zobaczyliśmy wielki napis Grosseto, jakieś 100 km. dalej na południe, było jasne, że te Cecine jakoś przejechaliśmy.

— Ty śpisz i nie uważasz na drogę — irytował się Marian — jak mogłeś nie widzieć napisu miejscowości?

— Przysięgam, że nie spałem. Widziałem wielkie napisy Stock, Super-cortemaggiore, Borsalini, ale nie było Ceciny.

Zatrzymaliśmy się i zdecydowaliśmy się tu nocować. W przewodniku polecono nowy motel Agipa, z drugiej strony miasta. Zajechaliśmy do

wiadomości o tej siostrzycy ziemi, niż 2,500 lat dotychczasowej obserwacji.

Na koniec, może nie będzie od rzeczy wspomnieć, że w wysięgu przestrzennym z Rosją na drodze do Wenus, pobili ją Amerykanie na głowę. Rosjanie, którzy podają jedynie udane wystrzały, a nieudane pokrywają milczeniem, ogłosili w dniu 12 lutego 1961, że „Sputnik 8” wystrzelił rakietę ku Wenus. Jodrell Bank istotnie uchwycił jakieś sygnały, które mogły być sygnałami tego satelity, lecz Rosjanie nigdy nie podali jego dokładnego położenia. Jedynie w 14 dni po wystrzale, w dniu 26 lutego, zapowiedzieli, że ich satelita przejdzie w odległości 100,000 km. (62,000 mil, t.j. trzykrotnie dalej, niż „Mariner”) od Wenus. Poza nimi jednak nikt danych tych nie mógł sprawdzać, a ponadto w dniu następnym satelita sowiecki, po przebyciu 4 i pół miliona mil, przestał nadawać. W dniu 22 maja, kiedy powinien on był przybliżyć się do Wenus, Jodrell Bank, w obecności astronomów rosyjskich, którzy prosili o pomoc tego obserwatorium angielskiego, usiłował nawiązać z nim kontakt, ale bez skutku. Wystrzał ten był więc niepowodzeniem.

Poza tą jednak próbą, o której Rosjanie poinformowali świat, podstępy amerykańskie stwierdziły jeszcze trzy nieudane usiłowania rosyjskie, aby wystrzelić satelitę ku Wenus. Mianowicie w 8 dni przed wystrzeleniem „Sputnika 8”, w dniu 4 lutego 1961, Rosjanie wystrzelili „Sputnika 7”, który co prawda wszedł w orbitę dookoła ziemi, lecz jego rakietę ostatniego członu, która miała wystrzelić satelitę ku Wenus, zawiadła. Wreszcie w tygodniu wystrzelenia „Marinera 2”, a więc z końcem sierpnia i początkiem września 1962 roku, Rosjanie wystrzelili dwa satelity z przeznaczeniem na Wenus. Z niewiadomych jednak powodów oba satelity wybuchły na ich orbicie dookoła ziemi, prawdopodobnie w czasie usiłowań uruchomienia rakiety, która miała wystrzelić pocisk ku Wenus. Szczęśliwie ich zostały zaobserwowane przez punkty obserwacyjne amerykańskie, co pozwoliło obliczyć tor satelitów i przybliżoną datę ich wystrzelenia.

Nieudane wystrzały nie są więc jedynie monopolem amerykańskim, z tą tylko różnicą, że Amerykanie ich nie ukrywają, ale przyznają się do nich otwarcie.

niego i Marian zostawił mnie w samochodzie a sam poszedł do środka.

Po chwili wrócił z kważną miną:

— Wszystko zajęte, ale 17 km. stąd jest ich drugi motel, jedziemy tam.

— Jak ty się z nimi dogadałeś? — zapytałem.

— W recepcji mówią po angielsku i powiedzieli, że jest „seventeen km”. Jasne.

— Pojechaliśmy dalej, a była godzina 8-ma i kieszki już od dawna wygrały mi marsza. Patrzymy na licznik, jak przesuwają się kilometry, 17, 20, 25, a tu motelu ani śladu. Wreszcie wyłoniła się wielka, fosforująca tablica, oznajmiająca, że o 50 minut od tego punktu jest świetny motel Agipa, w Montalto di Castro.

— To 70 km. a nie 17 — wykrzyknąłem.

— Powiedział „seventeen” a nie „seventy”, dwa razy powtórzył — odpowiedział zirytowany Marian.

— Nie mógłś mu kazać napisać tego cyframi?

Na tym odcinku via Aurelia jest dość pusta i nie było co filozofować, a tylko zatrzymać w pierwszym napotkanym hoteliku. Tak też zrobiliśmy, gdzieś w okolicy Orbetello. Mały hotelik przy stacji benzynowej, gdzie już stało kilka takich ciężarówek smoków. Wszystkie pokoje z tyłu były zajęte, pozostał jeden wolny, od frontu, z dwoma łózkami, a właściwie polowymi łóżeckami.

Marną kolację zjedliśmy o 9-ej, ale nazajutrz drogo za nią zapłaciliśmy. Gdy poszliśmy spać Marian palnął mi kuzanie, bym nie chrapał, bo on nie odpowiada jutro za prowadzenie. Zbędna przestroga. Caluteńka noc pod oknem przejeżdżały te ciężarowe graty, motocykle bez tłumików i inne podobniejszego hałasu wozy. Nie zmruczyliśmy oka, mimo że wypchaliśmy sobie uszy watą. Marian czytał jakąś ostatnią książkę o tajemnicach Watykanu, a ja przewodnik o urokach podróży po Italii.

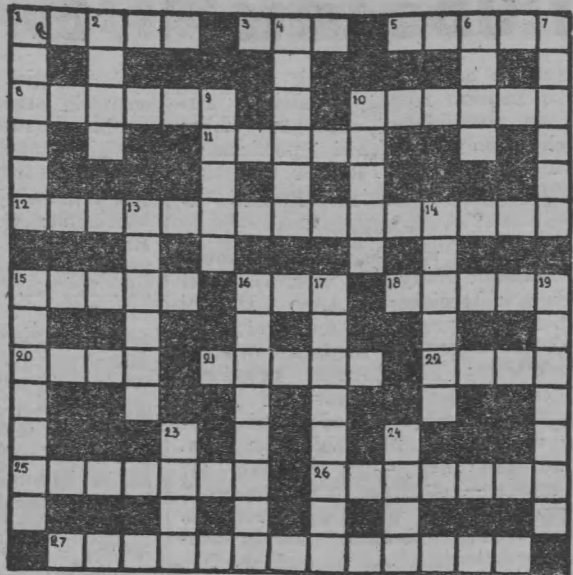
Dopiero nazajutrz w Rzymie, w lokalu kombatanckim Witolda Zahorskiego chrapnąłem sobie tak, że podobno sąsiedzi z innego mieszkania w mur stukali.

KRZYŻÓWKA NR 492/63

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) całkiem, w części naga; 3) i 16) ojczyzna Menelausa; 5) prawie golec, ale kiuje; 8) taniec jej kosztował głowę; 10) w przysłówiu ze stawem; 11) jeden Marcin; 12) przysłówie o prawdzie (6,1,4,4.); 15) rzadko tak służy szczęście; 18) źle jak pusty; 20) i 22) autor polski współczesny; 21) bandyci; 25) wilgotny, łagodzi ból; 26) nie dawaj mu nic do roboty; 27) bojowiec socjalistyczny (6,7).

Pionowe: 1) anielski lub harcowski; 2) jedno ze Lwowa; 4) w górę albo w dół prowadzi; 6) chciała od niego krokodyla; 7) jedno takie morze; 9) Boreasz z braćmi w nie dmucha (wspak); 10) przerażenie; 13) pojazd; 14) mieszkaniec Środkowej Azji; 15) żwawe dziurki?; 16) najlepiej znany Szkot z książki; 17) pieniądz (wspak); 19) filozof z Holandii; 23) cudzoziemski hrabia; 24) pojęcie matematyczne, wymyślili Hindusi (wspak).



ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI nr 482/62

Poziome: 1) piruet, 4) kopiec, 7) plotki, 8) żebrak, 9) osiem, 10) Cyrus, 12) huf (wspak), 16) i 17) Walligóra, 18) epos, 19) inne, 20) deszcz (wspak), 21) skutek.

Pionowe: 1) papa, 2) ustnik, 3) triumf, 4) kozuch, 5) pobory, 6) cykl, 9) opowieści, 11) sztajerek, 13) ubytek, 14) mieszek, 15) ognisko.

RADA TRZECH PRZYJMUJE ŻYCZENIA NOWOROCZNE

(Dokończenie ze str. 1)

ki rozstrzygnięte. Polityka polska musi dalej walczyć o utrzymanie Szczecina i Wrocławia, oraz o odzyskanie Lwowa i Wilna. Przed polityką tą stoją wielkie zadania oraz wobec zmian zachodzących w świecie poważne możliwości. Trzeba się wyrwać fatalizmu i walczyć o naszą sprawę z wiarą. Nie musimy z żadnym mocarstwem iść na ślepo. Sojuszników będziemy szukać tam, gdzie znajdziemy zrozumienie dla naszych interesów. Kończąc, podobnie jak inni mówcy, dr. Bielecki życzył Radzie Trzech, „zdrowia, siły i energii w pracy i walce, którą naród nasz prowadzi”.

Jako następny składał życzenia gen. S. Kopański, imieniem żołnierzy dwudziestolecia Polski Niepodległej, oraz tych którzy walczyli pod sztandarami polskimi w drugiej wnie światowej. Charakteryzując rok 1962 na terenie Kraju, mówca stwierdził pogorszenie się sytuacji ogólnej i wojska. Związki między żołnierzem polskim a dowódcą sowieckim zostały zacienione. Zbliżono ponadto współpracę jednostek polskich z niemieckimi „Republiki Demokratycznej”. Wspólne manewry i wymiennie wizyty, między innymi u Rokossowskiego w Rosji, stały się tego przykrym wyrazem.

W odpowiedzi zabrał głos imieniem Rady Trzech, gen. Tadeusz Bór-Komorowski, dając wstępnie wyraz serdecznym myślom, zwracającym na uwagę Nowego Roku, ku wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej, wszystkim Polakom na całym świecie. Jesteśmy

POTRZEBA 3 MILIONÓW NOWYCH IZB W POLSCE

Wprawdzie w ciągu 10-lecia zbudowano pokazań na oko cyfrę 2,574.500 nowych izb mieszkalnych, ale jak się okazuje, w tym samym czasie ludność Polski zwiększyła się ... o 4,723.000 osób.

Prawie cały przyrost ludności przypada obecnie na miasta (w ciągu 10-lecia ludność wiejska zwiększyła się zaledwie o 183.000 podczas gdy ludność miast — o 4.540.000 osób), w rezultacie braku mieszkaniowe na terenie miejskim są z każdym rokiem gorsze, pewną poprawę widzimy natomiast na wsi.

Według obliczeń „Polityki” z 24 grudnia 1962, w chwili obecnej brak jest miliona mieszkań, czyli — licząc na izby mieszkalne — potrzeba natychmiast co najmniej 3 mln.

Perspektywy na przyszłość nie wyglądają różowo. Przeciętą liczbą osób na 1 izbę w/g Małego Rocznika Statystycznego wynosi w Polsce — 1,66. A w innych krajach: Belgia — 0,8, Francja — 0,9, Holandia — 0,9, NRD — 1,1, Szwajcaria — 0,7, Szwecja — 0,7. Jedynie w Grecji i Bułgarii sytuacja jest gorsza niż w Polsce. Bułgaria — 1,8, Grecja — 2,2.

(FEC)

razem z nimi — mówił — jedną wielką rodziną, jaką stanowi naród polski. Oceniając wypadki ub. roku i podkreśliwszy ogromny sukces postawy Stanów Zł. wobec próby agresji ze strony imperializmu sowieckiego, gen. Bór-Komorowski wyraził nadzieję, że zmiany w sytuacji światowej przyniosą nowe ukształtowanie się rzeczywistości międzynarodowej. Nadchodzi zapewne czas, kiedy duch i wola człowieka, zawsze przecież dążącego do wolności, upomną się o swoje prawa. Przechodząc do położenia w Kraju, mówca wskazał, że zwłaszcza w ostatnich miesiącach skutki tzw. planowania komunistycznego dały się tam fatalnie odczuć. Cele rządzących Polską, całkowicie obcych narodowi pelmocników Moskwy są sprzeczne z dążeniami narodu, który nigdy nie wyrzeknie się wolności i możliwości decydowania o swoim losie.

Na szarym i smutnym tle życia polskiego jasniejsze potęgą moralna Kościoła Katolickiego. W ub. roku walka reżimu przeciw Kościołowi zaostrzyła się. Nowe przepisy i zarządzenia miały zamknąć drogę Kościołowi do spełnienia podstawowych obowiązków. Episkopat Polski się przed tym nie ugiął, zyskując coraz ściślejsze i głębsze więzy z wszystkimi częściami narodu. Udział Episkopatu naszego w pracach Soboru Powszechnego w Rzymie, niepełny ilościowo wobec represji paszportowych reżimu, stał się wielką manifestacją przywiązania narodu polskiego do wiary ojców. Do przedstawicieli Episkopatu naszego w dostojnym zgromadzeniu watykańskim skierowane były uczucia szczerego uznania i podziwu, a powracającego do swej stolicy księdza prymasa Wyszyńskiego witaly tysięczne tłumy rodaków w Kraju, wdzięcznych za tak wielkie oddanie się duchowieństwa polskiego sprawie niezłomnej obrony praw Kościoła.

Przeprowadzenie w 1962 r. na terenie W. Brytanii wyborów do Rady Jedności Narodowej z pewnością wzmocni prace Rady i pogłębi łączność jej ze społeczeństwem polskim na emigracji. Setna rocznica Powstania Styczniowego przypomina epokę innego sposobu życia oraz walki narodu. Ale wrogiem był ten sam zaborec najezdźca ze wschodu i drogę nam są wspomnienia ówczesnych walk przeciw niemu. Niech ta rocznica uświadomi wszystkim, że Polacy nigdy nie godzą się z niewolą.

Dziękując w końcu imieniem Rady Trzech za życzenia gen. Bór-Komorowski złożył je wzajemnie wszystkim i wyraził nadzieję, że Nowy Rok przybliży dzień wolności i niepodległości Polski, za którą walczyły całe pokolenia najlepszych synów ojczyzny.

Po przemówieniach członkowie Rady Trzech przyjmowali życzenia kolejno z wszystkimi gośćmi, licznie zebranymi w sali oraz hallu Instytutu, na czym uroczystość się zakończyła.

(a)

Polskie życie kulturalne

O TEATRZE, ZWŁASZCZA MŁODYCH I DLA DZIECI

KONIEC roku, a zwłaszcza początek następnego, to dobra pora do bilansów, podsumowań, a zwłaszcza do odrabiania zaległości i sporządzania remanentów. Święta zaś, choroby i podwójne numery odwracają tylko proces zrównania się z aktualnością, jeśli tylko z pomocą nie przyjdzie okres zmniejszonej działalności, zastoju lub nawet rezygnacji. W zasadzie w ub. r. 1962 teatr kwitł, zielenił się nowymi pedami, choć — jak w każdym procesie normalnego życia — nie brakło fermentów.

Ukoronowaniem tego rozkwitu, było udzielenie z czterech źródeł nagród teatralnych, względnie dramaturgicznych: z okazji 20-lecia teatru emigracyjnego „Ognisko Polskie” w 20-lecie swego istnienia ufundowało nagrodę w konkursie na sztukę dramatyczną w wys. £.75. — którą przyznano Antoniemu Cwojdzkiemu za sztukę pt. „Hipnoza”, graną obecnie przez Teatr ZASP-u. Nagrodę Towarzystwa Przyjaciół Teatru Polskiego w wys. £.30. — otrzymał Bronisław Przyłuski za sztukę pt. „Leon I”, której wyjątki były przed kilku laty czytane na wieczorze literackim. Ponadto wyróżniono sztukę nadesłaną z Kraju pt. „Postacie dramatu i cenzor” o-patrzoną godłem „Bezimienny”.

Również jury nagrody „Dziennika Polskiego” uznało za najlepszą sztukę autora emigracyjnego „Hipnozę” Cwojdzkiego, a za najlepsze kreacje aktorskie, postacie odtworzone w tej sztuce przez Tolę Korian i Jerzego Kawkę, którym nagroda ta została przyznana w kwocie po £.50. — ex equo wobec nagrodzenia już Cwojdzkiego wspomnianą poprzednio nagrodą. Oprócz tego nagrodę ZASP-u w wys. £.50. — przyznano Ryszardowi Kiersnowskiemu za „Noc w Alicante”.

Za zielony pęd teatru, który już zaczyna pączkować, a może nawet kwitnąć, uznać można pracę Warsztatu Teatralnego Młodych, prowadzonego z ramienia ZASP przez Barbarę Reńską, przy wydatnym współudziale S. Szpiganowicza, R. Kowalewskiej, J. Jakubówny i ostatnio A. Cwojdzkiego i in. W okresie świątecznym urządzony został czwarty z rzędu pokaz jego pracy, który wykazał już niezwykle wyniki, zarówno w zakresie rozwoju wychowawczego, jak i artystycznego adeptów. Jedenastka młodzieży męskiej i żeńskiej wykonała „Kolędę Marianny” K. Hłakowiczówny zinterpretowaną wielogłosem, Modlitwę Konrada” z „Wyzwolenia” S. Wyspiańskiego i kilka fragmentów z „Pastorałek” L. Schillera (1887-1954) i J. A. Maklakiewicza (1899-1954). Postępy całego zespołu były duże, a niektórych jego członków rewelacyjne. W pokazie brała znaczna większość zespołu, który liczy obecnie 16 członków. Jak zawsze interesujące informacje o pracy i rozwoju Warsztatu podała na wstępie B. Reńska, a ciekawą komentarz do „Pastorałek” podał S. Szpiganowicz, podkreślając ich świecki i ludowy charakter w odróżnieniu od kolęd o charakterze czysto religijnym i kończąc niezwykle trafną apoteozą do członków Warsztatu nazywając ich „Najmłodszymi Don Kichotami” emigracyjnego teatru. Warto zaznaczyć, że w pokazie tym, który odbył się w wypełnionej do ostatniego miejsca sali wystawowej Polskiej YMCA — pomimo niezwykle niesprzyjających warunków atmosferycznych i komunikacyjnych — wzięli udział: E. Ptasek, B. Morawiczówna, E. Zagórska, E. Niczewska, L. Kowalska, D. Michniewiczówna, Ewa Miszczak, R. Frijdel, W. Moszczyński, Z. Zapaśnik i S. Kochanowski.

Nie na długo przedtem, po przedstawieniach sztuki „Za Wielką Wodą”, graną przez Teatr dla Dzieci i Młodzieży, Towarzystwo Przyjaciół Teatru dla Dzieci i Młodzieży urządziło lampkę wina dla uczestników widowiska, członków zarządu i Komitetu Teatru i zaproszonych gości ze świata artystycznego, prasy i miłośników sceny polskiej. Zebranie to odbyło się w sali „Bohemy” w Domu SPK, której gospodarzem jest art. dram. J. Rymsza-Szymański. O zakulisowych kłopotach Teatru mówiła z humorem O. Lisiewiczowa, a o stronie artystycznej R. Kowalewska z tytułu swego kierownictwa artystycznego i reżyserskiego, utrzymując tradycję przemawiania z uśmiechem i si-

ne ira et studio. Wreszcie red. W. Zagórski referował wyniki plebiscytu przeprowadzonego przez „Tydzień Polski” n.t. hasła dla Teatru dla Dzieci i Młodzieży przy czym okazało się iż najwięcej głosów padło na „Syrenę”.

Wynik ten jednak nie wzbudzał entuzjazmu z powodu swej niewielkiej aluzyjności. Pod tym względem efektywniejszym niewątpliwie wydawałoby się hasło rzucone mimochodem przez S. Szpiganowicza „Najmłodszych Donkichotów”, jeśli pominąć wybujałe na tych łamach hasło „Zielonych” lub „Kwitających pędów”. O tym jak rzeczywistość łatwo może się połączyć z sceniczną uludą świadczyło wystąpienie kronikarki Teatru p. I. Parys-Lewickiej, która wręczyła p. R. Kowalewskiej dżbanuszek szklany z szklarni w Jamestown, o której powstaniu była mowa w sztuce „Za Wielką Wodą”. Dar ten przywieziony był przez p. Parys-Lewicką z jej niedawnej podróży do Stanów Zjednoczonych.

O powstaniu Towarzystwa Przyjaciół Teatru dla Dzieci i Młodzieży była już niejednokrotnie mowa na tych łamach. Przebyło ono okres organizowania się i przystępuje obecnie do działania. Prezesem Towarzystwa został wielki orędownik Teatru dla Dzieci i Młodzieży Paweł Hęciak, prezes Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii. Wiceprezesami zostali pp. prof. dr. W. Guenther i M. Poznańska, nadto z wyboru do zarządu weszli pp. B. Reńska, M. Lysakowski, B. Marianańska, sekretarz i zast. skarbnika W. Zagórski, M. Dżawachiszwilli, a z kooptacji p. T. Karen. Do komisji rewizyjnej weszli pp.: T. Terlecki, L. Bojczuk, S. Paulusowa, A. Sroczyński i T. Zabłocki.

Znaczenie tej instytucji może być dla Teatru bardzo wielkie, gdy dotychczasowy zarząd i Komitet natrafia w swej pracy na coraz większe trudności po dokonaniu już w poprzednich kilku latach wielkiego dzieła. Miarą swego rodzaju zmęczenia jest fakt, iż zapowiedziane na styczeń urządzenie kilku wznowień „Nocy Wigilijnej” M. Lisiewiczowa musiało być odwołane. Nowe kadry entuzjastów muszą więc się znaleźć i wejść na miejsce weteranów, aby tak pięknie zapoczątkowane dzieło mogło być kontynuowane z zasłużonym powodzeniem.

Jak wynika bowiem ze sprawozdania przewodniczącego Komitetu Teatru dla Dzieci i Młodzieży Tadeusza Malinowskiego, złożonego na Walnym Zebraniu Klubu Przyjaciół Teatru ta instytucja społeczna od chwili swego powstania w dniu 21 stycznia 1959 r. wystawiła 6 sztuk, które miały 53 przedstawienia i zgromadziły ok. 17,500 widzów, z których 70 procent to były dzieci. Wynika z tego, że każda sztuka oglądała ok. 2,000 dzieci, a zatem — jak można wnosić z obliczeń statystycznych — jest jeszcze w W. Brytanii ok. 10,000 dzieci w wieku od lat 5 do 14 które błogosławionymi wpływami teatru nie zostały objęte. Tych 6 sztuk wystawionych zostało kosztem £.6.176.-, przy czym koszty personalne na zespół aktorski wyniosły tylko £.1968, gdy grało ogółem 166 osób. Jeśli nadto wziąć pod uwagę, że wydatki na autora, reżysera i administratora poszczególnych sztuk wynoszą dokładnie £.22.-, to z tych liczb wyraźnie wynika na czyich barkach spoczywa dotychczas główna praca w tym teatrze i jak niedostateczny jest udział społeczeństwa w tym wysiłku, pomimo niezaprzeczonego uznania, jakie ma ono dla tej instytucji artystyczno-wychowawczej.

Była podjęta próba ożywienia tego zainteresowania sprawą i problematyką Teatru dla Młodych, ale dała ona mierne wyniki. Abstynencja wielu kół zainteresowanych była zastanawiająca, a problematyka artystyczna niemal zupełnie pominięta. Największe zrozumienie wykazało, tak jak je wykazywało w przeszłości — nauczycielstwo polskie, rozumiejące, że zadania ciążące na Teatrze przerastają jego możliwości. W wieczorze tym brali udział prof. W. Guenther, J. Otwinowska, A. Cwojdzki i M. Lisiewicz, przewodniczył T. Terlecki.

Brak miejsca nie pozwala na należyte uwzględnienie trzech odczytów dr. L. Kiełanowskiego o teatrze polskim i pierwszego wieczoru autorskiego J. Bzowskiego, seniora ZASP.

(n)

NAUKOŁO ŚWIATA

„H. M. S. Bounty“ i uwagi uboczne

Czesław Jesman

Historia po krótko przedstawia się następująco. W r. 1787 Admiralicja brytyjska wysłała „Bounty“ na Morza Południowe, jedenaście lat przetem „odkryć“ przez Kapitana Cooka. Celem wyprawy było zdobycie odsadków drzewa chlebowego i przewiezienie ich na Jamajkę. Miejscowi plantatorzy cukru doszli do wniosku iż jest to wymarzony i bardzo tani pokarm dla niewolników murzyńskich którzy trzęcinę cukrową tam uprawiali. Były to czasy po utracie kolonii północno amerykańskich i w Londynie, pod rządami arystokracji Whigów myślano przede wszystkim o oduceniu się gospodarczym, Sumienie humanitarne jeszcze się nie było narodziło. Wszelkie pomysły, jak w Warszawie pp. Wokulskiego i Podfilipskiego, były dobre jeżeli zwiastowały dochody. Tylko, że Anglicy nie cierpieli wówczas na ataki t. zw. „ame slave“. Dorabiali się szybko i bezwzględnie.

Wyprawa była pechowa od samego początku. Po pierwsze „Bounty“ była małą korwetą o wyporności 215 ton, nie przystosowaną do dalekich podróży. Dla porównania warto przypomnieć iż „Resolution“ Cooka miała 462 tony co na owe czasy było też mało poważną ilością. Odpowiadało mniej więcej 3000 ton dzisiejszego okrętu. Tu warto sobie przypomnieć, iż do chwili wprowadzenia maszyny na morzu, statki i okręty, budowane z drzewa i nieobciążone żelazem „wazyły“ wielokrotnie mniej od ich współczesnych odpowiedników. Pociągało to za sobą wiele praktycznych konsekwencji; na kilkaset tonowych żaglowych okrętach wojennych było często więcej miejsca dla załogi, i więcej ludzi można było upakować, aniżeli na dzisiejszych korwetach i fregatách obciążonych sprzętem wszelkiego rodzaju, turbinami, radarem i tysiącami innych ułatwień nawigacyjnych i artyleryjskich z metalu. Impnujące okręty liniowe Nelsona np. nie przekraczały 2000 ton wyporności.

Niewielkie rozmiary „Bounty“ — 93 stopy długości na 23 stopy szerokości — nie były jedynym jego defektem. Stłoczenie było ogromne. Oprócz załogi w wyprawie brali udział botanicy, lekarz i kilkunastu innych cywilów. Nie było natomiast oddziału piechoty marynarki czyli „Royal Marines“. Formacja ta tradycyjnie pełniła funkcje żandarmerii pokładowej, oddziałów desantowych i szturmowych i trzymała w ryzach załogi. Te w nieznacznej tylko mierze składały się z ochotników. Ale nawet wśród tych ostatnich ochotniczenie się nie oznaczało miłości do morza i żądzy przygód. Odsetek przestępców kryjących się pod pokładami Królewskiej Marynarki „klasycznego“ żaglowca okresu jej istnienia był olbrzymi. Większość załóg jednakże stanowili marynarze przymusowi. Zaciągali ich, literalnie za mordę, w stanie zamroczenia, na pokład, t. zw. „press gang“ czyli komanda łapanek obchodzące późną nocą knajpy portowe. Na „Bounty“ było stosunkowo wielu ochotników, najgorszego elementu.

Do tego jedynym oficerem „z patentem królewskim“ na okręcie był jego dowódca, lieutenant William Bligh. Jego zastępcami i pomocnikami byli oficerowie z dekretu — petty officers — których dziś określiliby się jako starszych podoficerów. Prym wśród nich wodził Christian Fletcher. Zaciągnął się on na „Bounty“ jako „majtek z cenzusem“ — ordinary seaman treated as a gentleman. W krótkim czasie został zastępcą kapitana, — master and first lieutenant. Promocję swoją zawdzięczał temu, iż był krewnym żony dowódcy. Bligh zresztą był wysokiego zdania o Christianie i wyszkolił go na nawigatora.

W tym miejscu przenosimy się z dziedziny historii do Hollywood. A właściwie do okresu jeszcze przed-hollywoodzkiego ale już nowoczesnego. W dwudziestych latach obecnego stulecia marzenia o „entlimum dżikusie“ i o raju ziemskim kryjącym się za horyzontami oceanów pokutowały jeszcze w Europie i w Stanach Zjednoczonych. Filiacja literacka prowadziła od Stevensona i Pierre Loti do Jacka Londona. W tymże czasie dwaj dziennikarze amerykańscy Nordhoff i Hall w poszukiwaniu łatwego zarobku natrafili na echa buntu na H.M.S. „Bounty“. Napisał najpierw jedną książkę a potem całą szereg „dalszych ciągów“ na ten sam temat i nawet, przy tej okazji, odwiedzili Tahiti i inne

wyspy Pacyfiku. I rzeczywiście przypadkowi autorzy natrafili na przypadkową kopalnię złota. Powieść ich, zresztą szmirowata, przetłumaczono na wszystkie prawie języki świata cywilizowanego i w r. 1935-ym Metro Goldwyn Mayer nakręcił epopeję pod tymże samym tytułem. Główne role w niej grali Clark Gable, nieżyjący już dzisiaj i Franchot Tone, a nade wszystko wielki Charles Laughton, zmarły w końcu zeszłego roku. Był to chyba największy kabotyn na scenie anglosaskiej naszych czasów. Jego zgrzywanie się sięgało szczytów geniuszu. I on to głównie, przysłużył się do utrwalenia w pamięci milionów kinochodów całego świata sylwetki kadystry-kapitana Bligh, którego szlachetny zastępca Fletcher Christian wysadził do łodzi pospołu z kilkunastu wiernymi przysiędzą członkami załogi na środku oceanu a sam, z resztą załogi niezadowolonej ścierpiej dłużej tyrana, powrócił na Tahiti gdzie „Bounty“ załadowało sadzonki drzew chlebowych. Wyrucono je do morza. Zbuntowana załoga zakrętowała tym razem nie okazy botaniczne a Tahitianki i odplynęła w nieznane, uchodząc przed zemstą marynarki Jego Królewskiej Mości. „Bounty“ ostatecznie rozbiła się na nieznaną wówczas wyspie Pitcairn gdzie zbuntowniczka załoga, i jej potomkowie w ukryciu, pedzila idylliczny tryb życia aż do czasu kiedy wyspę odnaleziono znów w końcu ubiegłego stulecia.

Obecnie wyświetlana jest w Londynie nowa wersja sagi. Tym razem kapitanem Bligh jest Trevor Howard, bardzo dobry aktor ale ani geniusz ani kabotyn. W jego interpretacji Bligh też jest sadyką, trochę innego rodzaju tylko. Fletcherem Christianem jest marion Brandon. Przed laty, jako brutalny Kowalski w „Streetcar Named Desire“, dał on rzeczywiście doskonały popis gry. Zresztą był w tej ponurej tragedii Tennessee Williamsa partnerem znakomitej Vivian Leigh więc musiał uważać. Ale potem mizdrzenie się i mrużenie tego rozkarmionego cymbała na ekranie stały się nie do zniesienia. Grał i Brutusa i zwierzęcych zaatlantycznych chanów na motocyklach, zawsze jednakowo i zawsze źle. Teraz jest Fletcherem Christianem w technicolorze, w autentycznym środowisku — zdjęcia robiono na Tahiti, Pitcairn i na Morzach Południowych, przy akompaniamencie starannie dopilnowanych szczegółów etnograficznych i historycznych. I wszystko razem jest bzdurą. A jest nią dlatego, że oświetlenie historycznego buntu zostało nakłamanie od początku do końca.

Przeszłoby ono bez śladu — film obecnie nie dorównuje w spoiwości i sile wyrazu do pięć nawet pierwszej wersji — gdyby nie przypadkowe prawdopodobnie ukazanie się w druku książki doskonałego znawcy Pacyfiku, praktykującego i naukowego i żeglarza Bengta Danielssona.* Autor jej przedstawił historię „Bounty“ nie w oparciu o wyobraźnię ale o źródła, na ogół dziś już pomijane albo zapomniane. Z nich też wylania się coś całkiem innego aniżeli legenda filmowa. A więc po pierwsze William Bligh sadyką nie był. Był zdolnym i ambitnym oficerem — zrobił zresztą karierę po tym i był gubernatorem jednej z kolonii australijskich — i ludziom dowódcą. Podczas długiej i niezmiernej uciążliwej podróży „Bounty“ chłosta była nakazana zaledwie 11 razy. Był to nieomal że rekord humanitarnej w warunkach zwierzęcej dyscypliny 18-wiecznej marynarki brytyjskiej. Bligh dbał o samopoczucie swoich podwładnych nawet i zachęcał ich do rozrywek wszelkiego rodzaju podczas podróży. Podobnie troszczył się o odkarmianie załogi i „nawitaminizowanie“ jej kiedy okręt przez wiele miesięcy był zakotwiczony na Tahiti. Bligh utrzymywał doskonałe stosunki z miejscową ludnością. Nade wszystko był on wspaniałym marynarzem i nawigatorem. Po wysadzeniu do otwartej łodzi przez zbuntowników dokonał niezwyklego wyczynu. Przy minimalnych środkach żywnościowych dopłynął do wyspy Timor odległej od miejsc buntu o 3700 mil morskich. Wkrótce po tym dostał się do Anglii, stanął przed trybunałem Admiralicji który

*Bent Danielsson — What happened on the Bounty. (Allen and Unwin) 1962; 25/-

go zwolnił od jakichkolwiek zarzutów i jako kapitan fregaty „Pandora“ ruszył na poszukiwanie zbłądów. Kilku z nich złapano na Tahiti i powieszono w Porstmouth, Ale Fletcher Christian i reszta załogi „Bounty“ wywinęli się.

Nie było to rozwiązanie sielankowe, jak twierdził Hollywood w r. 1935 ani patetyczno-heroiczne Anno Domini 1962. Bligh, przy wszystkich swoich zaletach odznaczał się niepojętym charakterem; nie potrafił opanować wybuchów złego humoru i zniecierpliwienia. Klął odchodząc od zmysłów nieomalże i nie dobierając słów. W atakach furii — a zdarzały się one często — oskarżał podkomendnych o przestępstwa wszelkiego rodzaju. Zresztą załoga „Bounty“ liczyła wielu zdecydowanych rzezimieszków. Nie byłoby z nimi kłopotu gdyby nie to iż Bligh i Christian działali sobie na nerwy nawzajem tak dalece, iż współżycie w pływającym kołcu stało się dla nich niemożliwością. Nie było Royal Marines dla zapobieżenia przygotowaniom do rewolty, no i mały stateczek dziwnym zbiegiem okoliczności przeszedł i do historii i do filmowej mitologii. Bunt zresztą był niezwyklej ofiar w ludziach nie było, cokolwiek by na ten temat nie twierdziły obie, i bardzo sadystryczne hollywoodzkie wersje filmowe.

Osiedlenie się zbuntowników z Tahitiankami w Pitcairn nie przyniosło im szczęścia. Napłodzili dzieci co prawda ale wymordowali się nawzajem z zazdrości o swoje ziemne partnerki. Potomkowie tych mieszańców, powiedzmy, małżeństw mieszkają na wyspie do dziś dnia. Jest to stożek wulkanu podmorskiego wychylający się o 600 metrów ponad poziom morza. Powierzchnia jego wynosi 4 kilometry kwadratowe. Roślinność jest bujna i tropikalna. Fauna składa się z potomków kóz które „Bounty“ przywiozła z sobą. „Bounty“ przybyła na Pitcairn w r. 1790; w osiemnaście lat później wyspę „odkryła“ ponownie marynarka amerykańska. Fletcher Christian dawno już nie żył wówczas. W r. 1856-ym przeludnienie jej było tak poważne, że marynarka brytyjska przewiozła nadmiar na wyspę Norfolk. Dziś wynosi ona 126 mężczyzn, kobiet i dzieci. Od 1952 r. wybierają własnego starostę — Chief Magistrate — pod odległym i nieuczajliwym nadzorem Brytyjskiego Wysokiego Komisarza Zachodniego Pacyfiku, mieszkającego się w Suva, stolicy archipelagu i wyspy Fidzi. Obecny starosta Pitcairn nazywa się Christian, jak jego przodek przywódca buntu.

Czy jest w całej tej historii nauka ogólna? Chyba nie — albo raczej jest to połączenie nauki dwóch przysłów: „jest to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami“ oraz „nie krzyż hop, aż nie przeskoczysz i nie stwierdzisz gdzie wskoczyć“.

TYLKO 3 PROCENT LEKARZY PRACUJE NA WSI

Tygodnik studencki „itd“ (nr 47) opublikował list, z którego cytujemy następujący wyjątek: „Lekarzy medycyny mamy w Polsce z górą 30 tysięcy. Jeśli tę liczbę zestawimy z liczbą ludności to otrzymamy wynik następujący: na 100 ludzi przypada w Polsce przeciętnie 1 lekarz. Proporcja zupełnie dobra, podobna istnieje w USA, Japonii, Belgii itp. Szkopuł tkwi jednak w tym, że operujemy liczbami przeciętnymi, którymi nie można się nie posługiwać, ale na których nie można też poprzestać. Lekarze nie są w Polsce równomiernie rozmieszczeni w poszczególnych rejonach kraju. Problem nie dotyczy tylko — mówiąc nawiasem — lekarzy. Trwamy jednak przy tym przykładzie. Dysproporcje w rozmieszczeniu lekarzy ujawniają się z dużą siłą jeśli się weźmie pod uwagę miasto i wieś. Na wsi żyje chyba ponad 50 proc. ludności naszego kraju, ale na wsi pracuje tylko 3 proc. ogółu lekarzy. Na tym dysproporcje się nie kończą. W 10 akademickich ośrodkach, skupiających ok. 15 proc. ludności kraju, pracuje ok. 45 proc. ogółu lekarzy. Cyfry mówią same za siebie i nie wymagają chyba komentarzy. Widać więc, że zadowolenie się samym wzrostem ilości absolwentów wyższych uczelni nie daje jeszcze wszystkich powodów do radości“.

(FEC)

PRZEGLĄD SPORTOWY

BOKSERSKI PUCHAR EUROPY

Po długich debatach postanowiono wreszcie przeprowadzić pierwsze spotkania w ramach drużynowego amatorskiego pucharu w boksie. Startowac będą reprezentacje poszczególnych krajów i w każdej rundzie odbędą się dwa spotkania; w domu i na wyjeździe. Kraj, który zbierze w nich więcej punktów, przejdzie do rundy następnej. Do pierwszych walk pucharowych zgłosiło się 8 państw. Losowanie połączone następująco parę: Bułgaria będzie walczyć z Irlandią, Niemcy Wschodnie z Francją, Rumunia z Polską i ZSRR z Włochami. Polska wylosowała szczęśliwie, bo trafiła do pierwszej połowy, i w wypadku pokonania Rumunii spotka się z Francją lub Niemcami Wschodnimi, podczas gdy Włochy już w pierwszej rundzie muszą walczyć z Rosją, a więc jeden z faworytów odpadnie.

Pierwsza runda musi być zakończona do dnia 31 marca b.r., druga do końca października a walki finałowe w styczniu 1964 roku.

Puchar, wysokości metra, przedstawia dużą wartość artystyczną a ufundował go niedawno zmarły prezes Związku francuskiego Emila Gremaux.

Drużyna polska ma wielkie szanse na dostanie się do finału a nawet na ogólne zwycięstwo. Boks amatorski stoi w naszym kraju bardzo wysoko. Niestety jest to jeden z tych sportów, w których o zwycięstwie decydują sędziowie. Można, oczywiście, zwyciężyć przez knock-out, ale wśród amatorów zdarza się to rzadko, a gdy przeciwnik trzyma się jeszcze na nogach, nigdy nie wiadomo kogo wybiorą sędziowie.

PLEBISCYTY

Na zakończenie każdego roku w wielu krajach przeprowadza się klasyfikacje i ogłasza listy najlepszych sportowców. Dwa systemy są przeważnie w użyciu. Pierwszy polega na tym, że któreś z pism zapytuje kilkudziesięciu dziennikarzy z wielu krajów i podsumowuje ich opinie, drugi ma charakter powszechny, bo pismo sportowe ogłasza konkurs, w którym mogą wziąć udział wszyscy czytelnicy, i ich głosy decydują. Stosując system pierwszy, United Press International w Londynie zapytała 38 dziennikarzy z 16-tu krajów i w wyniku ich odpowiedzi sporządziła listę sportu światowego. Najlepszym sportowcem naszego globu za rok 1962 został po raz drugi sowiecki skoczek wżwz Walery Brumel (wygrał w roku ubiegłym), drugie miejsce zajął Dawn Fraser (Australia — pływanie), 3. Peter Snell (N. Zelandia — lekka atletyka), 4. Rod Laver (Australia — tenis), 5. Pentti Nikula (Finlandia — l. atletyka), 6. Pele (Brazylia — piłka nożna), 7. Sonny Liston (USA — boks), 8. Murray Rose (Australia — pływanie), 9. Michel Jazy (Francja — l. atletyka), 10. Garriucha (Brazylia — piłka nożna). Na liście nie ma niestety ani jednej kobiety i w ogóle lista nie jest wcale doskonała. Brumel jest świetnym skoczkiem, ale był pierwszy w roku ubiegłym i obecne zwycięstwo nie jest mu potrzebne. Stanowczo wybitniejszą odefi indywidualnością był w roku 1962 fenomenalny Peter Snell, który ustanowił 3 zupełnie niebywałe rekordy świata na niezwykle trudnych i masowo bieganych dystansach (800 m., 1500 m. i mila). Z publikowanych dodatkowo list poszczególnych dziennikarzy widać się wyraźnie jak każdy ciągnie swojego, nie oglądając się na uzasadnienie.

Stanowczo bardziej przekonujące są głosowania czytelników, bo wówczas wypowiada się kilkadziesiąt tysięcy ludzi. W Polsce od wielu lat plebiscy tak organizuje „Przebieg Sportowy“. Właśnie odbywa się głosowanie a wyniki będą ogłoszone 15-go stycznia. Cała 10-tygodniowa jest do przewidzenia, ale nie ulega wątpliwości, że najlepszym polskim sportowcem za rok 1962 zostanie biegaczka Teresa Ciepla, która na mistrzostwach Europy w Belgradzie zdobyła 2 złote medale (80 m. przez płotki i sztafeta 4x100) i jeden brązowy (100 m.).

ROD LAVER PRZEGRZYWA PIERWSZY MECZ

Debiutując jako zawodowiec, Laver, najlepszy amatorski tenisista świata, przegrał do byłego mistrza Wimbledonu, także Australijczyka, Lew Hoada 6:8, 6:4, 6:3, 8:6. Spotkanie odbyło się na największym tenisowym stadionie Australii w Sydney dn. 5. 1.

63. na oczach 8 tysięcy widzów, przy świetle elektrycznym. Mimo porażki Laver grał doskonale i był równorzędnym przeciwnikiem. Gdy nabierze większej twardości i przyzwyczai się do nowych warunków, będzie postrachem swych zawodowych przeciwników. Wypełnione po brzegi trybuny były po stronie Lavera i zachęcały go serdecznie do zwycięstwa. Jego skromność i zupełny brak poży zdobywają mu zawsze serca widzów.

Kasa musiała być fantastyczna i już po tym pierwszym występie widać że sukces światowej tury Lavera jest zapewniony. Zarobi uccziwie każdego pensa z £39,000 obiecanych mu w ciągu najbliższych dwóch lat.

Sympatyczny australijski chłopiec musi odczuwać napewno wielką ulgę i wielkie zadawolenie. Nareszcie skończyła się hipokryzja tenisa amatorskiego, nareszcie może swobodnie odychać i uczciwie zarabiać, nareszcie nie wiszą nad nim działacze australijskiego związku, którzy już nie jednemu obrzydli życie.

Dyscyplina wszędzie jest potrzebna i napewno winni jej podlegać młodzi sportowcy, ale są granice interwencji różnych zarządów, komitetów i organizatorów. W roku ubiegłym cały sportowy świat ze zdumieniem przyglądał się walce, jaką rozpetał tenisowy związek australijski przeciwko swej najlepszej tenisistce Margaret Smith.

18-letnia rezolutna dziewczyna oświadczyła, że jak najchętniej pojedzie do Europy i do Stanów Zjednoczonych, ale jako osoba prywatna a nie jako członkini oficjalnego zespołu australijskiego, bo nie potrafi pogodzić się z jego kierowniczką panią Hopman. Żona głośnego kapitana drużyny australijskiej jest znana ze swej apodyktyczności i oświadczenie Margaret niko nie zdziwiło, ale związek wpał w furie i rozpoczął machinacje, które miały Miss Smith uniemożliwić wyjazd. Gdy zamożny przemysłowiec australijski obiecał sfinansować jej wyjazd, związek zabronił swym graczom nie tylko treningów z koleżanką, ale nawet kontaktów towarzyskich. Było coś żenującego w tej walce starych, bruchatych gentlemanów z dzieckiem, które bronio swęj niezależności. Dopiero gdy Margaret wygrała mistrzostwo Włoch i Francji związek poniechał bezsensownych dąsów i wysłał do niej telegram. Niestety trudy walk na kortach i szarpające nerwy szkany związku zmogły wreszcie żelazną dziewczynę. Załamała się i przegrała Wimbledon w pierwszej rundzie. Powróciła do równowagi dopiero w USA i stała się pierwszą Australijką, która zdobyła amerykański tytuł.

ODWOŁANE SPOTKANIA

Już drugą sobotę z rzędu odwołano w Anglii tyle meczów piłkarskich, że wszystkie kupony pulowe zostały unieważnione. Spowodowało to odrzu powódź wypowiedzi, które głoszą, że liga powinna zmienić kalendarzyk i nie wyznaczać rozgrywek na kilka tygodni zimowych.

Pozornie argumenty te są słuszne, ale tylko pozornie. W Anglii, podobnie jak w Hiszpanii, w Portugalii, we Francji, częściowo w Niemczech, w piłkę gra się w zimie i sezon musi być zakończony w początkach maja, bo inaczej będzie kolidować ze sportami letnimi. Można by ostatecznie zrezygnować z dwóch sobót, ale z których? Któż w Anglii może dać gwarancję, że zła pogoda zastępuje się do wyboru ligi? Zmiana mogłaby dotyczyć przeniesienia piłki na sezon letni ale to byłaby już zmiana rewolucyjna. Anglicy są przeciwnikami rewolucji i chyba mają rację.

Józef Garliński

PLANY „ORBISU“ NA ROK 1963

Radio Warszawa (18 grudnia b.r.) ogłosiło wywiad z przedstawicielem biura podróży „Orbis“ na temat projektowanych na rok 1963 wycieczek zagranicznych. Według przewidywań „Orbisu“ będzie mogło wyjechać za granicę w przyszłym roku za pośrednictwem tego biura ogółem około 60.000 polskich turystów. Koszt wycieczki do Pragi — 1980 zł. Wycieczka do Moskwy i Leningradu na 10 dni — 3.300 zł. A dla amatorów egzotyki wycieczka do Chin i Mongolii, w tym polowanie w Mongolii (na tygrysy) — 14 dni, cena około 19.000.

(FEC)

— W porządku, proszę pani — uspokajał Zaklewską. — Ja bardzo lubię wszelkie domowe roboty.

Pani Zaklewska nie mogła się uspokoić.

— Jak ci nie wstyd, Tosieczku! Co też pan Stopczyński o nas sobie pomyśli?

Marek mógł się nareszcie lepiej przyjrzeć panu domu. Był to duży mężczyzna, w okularach, tęgi, o zupełnie tysej czasce i tego szpakowatej bródce. Stał bezradnie przed swoją żoną, niższą od niego o półtora głowy, jak uczeń, karcony przez nauczycielkę. Kasia próbowała go bronić:

— Nie ma o czym mówić, pani Heleno! Marek przepada za reparaćkami. Wszyscy znajomi zawsze go proszą o pomoc w takich wypadkach. (Co ona opowiada? Ach, te kobiety!)

Nic nie pomogło. Dla prześlągania pani domu musieli zostać na obiedzie i, naturalnie, dobrą godzinę dłużej. Gdy wreszcie Marek i Kasia zdołali się wyrwać z gościnnego domu, Marek odsapnął:

— Uff! Jak ty możesz z tą kobietą wytrzymać pod jednym dachem? Ja bym ją zamordował po tygodniu i gwarantuję ci, że każdy sąd by mnie uniewinnił.

Kasia zaczęła się śmiać:

— To jeszcze nic! Zobaczysz, co będzie teraz! Nie będziesz miał chwili spokoju — i ja także — dopóki nas nie wyswata. To jej prawdziwa namiętność. Ile razy widziałam mnie w towarzystwie jakiegoś znajomego, zawsze chciała mnie za niego wydać.

Marek poczuł ostre ukłucie zazdrości.

— Aż tyle razy? Więc już się chyba przyzwyczaiła, że nic z tego nie wychodzi.

— No, tyle razy to się znowu nie zdarzało. Ale trzeba widzieć jej minę, kiedy zaczyna do mnie zagadywać na temat ewentualnego małżeństwa. Tak by jej na tym zależało, że momentalnie wiadomo, o co jej chodzi.

Marek uparczywie trzymał się pierwszej, zazdrosnej myśli:

— W każdym razie pani Zaklewska nie wydawała się bardzo zdziwiona, spotykając mnie w twoim pokoju.

Kasia zatrzymała się i spojrzała mu w oczy:

— Co ty chcesz przez to powiedzieć, Marku? O co ci chodzi?

Marek, zawstydzony i zły na siebie, brnął dalej niezręcznie:

— Nic specjalnego. Po prostu bawi mnie, że ciebie już tyle razy chciała wydać za męża.

Kasia pokręciła powątpiewająco głową:

— Nie, nie, to nie to. Przyznaj się, o co ci naprawdę chodzi?

Przyciśnięty do muru Marek zdecydował się na szczerość:

— To idiotyczne, Kat, ale ja się czuję zazdrosny o tych innych młodych ludzi, z którymi się spotykałaś. Ja wiem, że nie mam do tego prawa, ale tak już jest.

Kasia nie wydawała się wcale oburzona. Mocniej przycisnęła do siebie jego ramię.

— Nie masz powodu, Marku. Najmniejszego, naprawdę!

Marek uczył nieoczekiwanie wielką ulgę. Nie bardzo wiedząc, jak ją wyrazić, nachylił się ku Kasi i nie zastanawiając się, powiedział:

— Kocham cię, Kat.

Kasia drgnęła i zacerwieniła się. Potem podniosła na Marka oczy, które nawet spoza okularów błyszczały dziwnym światłem i szepnęła tak cicho, że się musiał domyślać jej słów:

— I ja cię kocham, Marku.

Wracając późnym wieczorem do domu, Marek był dumny ze swojej decyzji. Skoro kochał Kasię, a ona jego, na co było czekać? Małżeństwo wydawało się logicznym

Stefan Wóycicki

Ziemia przeznaczona

Powieść

i pożądanym rozwiązaniem. Myślał o przyszłości? Dzisiaj, kiedy lada chwila przyszłość całego rodu ludzkiego może zostać przekreślona w przeciągu paru dni, ba, nawet godzin? Przypomnił sobie opisy małżeństw w powieściach z czasów pierwszej i drugiej wojny światowej i poczuł, że dzieli z ich bohaterami tę samą chęć, to samo pragnienie: uchwycenia na gorącym uczynku kruchego i nietrwałego szczęścia osobistego, któremu zagraża światowy kataklizm.

Była już prawie dwunasta, gdy otwierał drzwi do swego pokoju. Na dźwięk przekreślonego klucza Starzeski, który najwyraźniej czekał na jego powrót, wyjrzał na schody.

— Niech no pan pozwoli na chwilę do mnie — zaprosił. — Późno już — wykreślił się Marek, który wolał zostać sam na sam ze swymi myślami, niż słuchać wykładu o atomowej grozie. — Jutro roboczy dzień.

Tamten machnął ręką.

— Wszystko jedno. Słuchał pan wieczornych komunikatów?

— Nie.

— Ameryka mobilizuje dalsze roczniki. W Niemczech doszło do poważnych incydentów granicznych. Rząd brytyjski obraduje, jutro oczekuje się deklaracji premiera. W kilku państwach zachodnich wybuchły inspirowane przez komunistów rozruchy.

Marek ostupiał.

— To już prawie wojna — powiedział niepewnie.

Starzeski uśmiechnął się szyderczo:

— A tak, prawie. Dziś w nocy mogą nam spuścić na łeb bombę atomową, wodorową czy kobaltową. Dobranoc panu! Przyjemnych marzeń! — Starzeski zamknął drzwi do swego pokoju, zostawiając Marka w zupełnej ciemności.

Przez chwilę nie mógł ręką trafić na klamkę. Wreszcie otworzył drzwi i zapaliwszy światło, siadł w płaszczu na łóżku, bezmyślnie wpatrując się w Napoleona podczas jednej ze zwycięskich bitew.

— To już? — zapytał sam siebie półgłosem z akcentem powątpiewania i obrócił oczy ku odsłoniętemu oknu, jak gdyby tam gdzieś wysoko w mrocznej przestrzeni spodziewał się dojrzeć złowrogi błysk sowieckiej rakiety, dzwigającej ładunek śmierci dla całego olbrzymiego miasta.

XV.

Następnego ranka gazety rozwrzeszczały się na alarm panicznie rozbieganymi czcionkami tytułów. Rząd brytyjski, po całonocnych obradach i telefonicznym kontakcie z Waszyngtonem, zdecydował się na podjęcie szeregu kroków obronnych, mobilizując kilka roczników, wprowadzając przymus nocnego zaciemnienia miast i uruchamiając ochotniczą służbę strażniczo-pomocniczą. W biurze Armstrong powitał Marka posepną uwagą:

— To już trzeci raz za mojego życia; czwarty nawet, jeżeli liczyć wojnę burską. Ale tamto wszystko było niczym w porównaniu z tym, co nas teraz czeka. Chyba — dodał z niczym nieuzasadnionym optymizmem — że nasz rząd znajdzie jakieś wyjście z sytuacji.

ZNAM ULICZKĘ...

Egzystencjonalizm, trochę już niemodny, lecz w Anglii moda zawsze bywa spóźniona o pół minuty. I ulega też swoistej przeróbce. Na wspomnianej uliczce egzystencjonalizm przeżywa swoją najświetniejszą erę. Nie wiem jak w zimie, ale w lecie i jesieni — jest na co spojrzeć. Po środku, nie w pięć ni w dziewiętnaście, stoi latarnia. Przypuszczam, że z przyczyn resztkowych. Pod nią znalazł siedlisko klub młodych. Około 5-ej po południu ściągają tu brodac, niestrzyżeni, niemocy, nieskubani, nieprani, nigdy nie naprawiani. I chociaż ich suknie plugawa, wzrok nie dziki. To Anglia. Zresztą wzrok nie gra roli. Suknia wystarczy. I bosa noga, pięty czarne z niebytu skarpetek, wyrwy w spodniach tam, gdzie wyrwy być nie może — hypnotyzują. Jak mówią,

jest na co spojrzeć. Mimo, że przez to można by popaść w konflikt z policją.

Mnie osobiście, prócz sukni bezspodniej, najbardziej urzekają głowy. Eremita piastowski, derwisze, żerdzy Gołubiewa, ze spłotami do ramion, na pół pleców, z grzywą poniżej nosa. I brud taki, że eterem nawet nie obmyjesz. I ściągają ta złota młodzież, wiodąc w pół swoje Musetty. Chwyta się latarni, okręca jak w figurze mazurowej i zamiera w bezruchu. Gęsto, jeden przy drugim. Porozumiewają się głuchym gulgotem, krótkim ptasim zewem klanowym. Bo mowa, znak uczłowieczenia, jak strój, została odrzucona i spoiniewierana.

Złota młodzież? Chyba. Auta parkują opodal, w strefie zakazanej, placą więc kary. Ale zatarg z policją należy do słusznych praw jednostki wolnej od czystości. Ciężkie szylingi zostawiają w espresie, kury z różną szarpia palcami, palce wycierają w brody owłosione i nogi dziewcząt. A ich Musetty muszą wywodzić się z niższego gatunku, bo mimo zespolenia w łoju z gatunkiem męskim, widać że przecięt tu i tam myte.

Kobieta z koci niepoważnej, zebrowej, ma pociąg do filisterskiego szychu. (Nie mylić z szykiem i Filistynami!). Dlatego zgnilizna fryzjerska uderza jej do głowy i przez to w egip-

skich zaplotach i lokalnych chitonach, dziewczęta noszą się czysiej od samców. O nogach, w greckich rzemieńniach, rzec tego nie można.

Przyszłość światu należy do młodych. W takim razie brudny jego obraz. Ja np. nie chciałabym, żeby moje wnuki myły się tylko za poradą lekarza. Lecz — „czym skorupka za młodu nasiąknie...“ A te skorupki nasiąkły. Choćby w czasach, kiedy spostrzegą że są nadzy. Cieleśnie i duchowo. Tak jak zaczynają to już spostrzegać inni młodzi, psychicznie widocznie zdrowsi, mimo że na stan swojego egzystencjonalizmu mieliby usprawiedliwienie proste i przekonujące — żyją w raj i nie dadzą się wygnąć.

Teodozya Lisiewicz.

MATERIAŁY, LEKARSTWA, ŻYWNOSĆ
najszybciej, najkorzystniej, najlepiej

wyślesz przez

P. C. STORES
S. BREWKA

18, Queens Gate Terrace, London, S. W. 7.

Tel.: KNI 0747

DOKUMENTY CHWILI

Zeszyty Informacyjno-Polityczne pod redakcją
Adama Ciółkosza

Zeszyt 1-szy już do nabycia w GRYF PUBLICATIONS LTD., 169, Battersea
Church Road, LONDON, S.W.11 i we wszystkich księgarniach polskich

w cenie 22/-.

BILETY KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRETOWE

Formalności związane ze
sprowadzaniem rodzin z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.
Szybko, sprawnie, tanio
załatwia

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5
Tel. FRE 1186
MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.
Tel. Moss Side 4683
BIRMINGHAM 4

63, Dale End, Tel. Central 6260

Wielkie dni rokowań

(Dokończenie ze str. 1)

sko-włoskich w Rzymie będzie przede wszystkim sprawa przystąpienia Anglii do Wspólnego Rynku, z czego by wynikało, że — zdaniem tego pisma — rzecz nie zostanie jednak załatwiona w najbliższym czasie. Do swego komentarza na ten temat „Times“ dodaje uwodząca uwagę, że brytyjskie koła rządowe traktowały Włochy zawsze jako najgorętszego zwolennika wejścia W. Brytanii do EWG wśród wszystkich państw Szóstki.

ONZ jako ... agresor i mocarstwo kolonialne

Przedstawienie, jakiego jesteśmy świadkami na terenie Katangi robi coraz fatalniejsze wrażenie. Naprzód były staranne przygotowania ze strony ONZ do akcji zbrojnej za parawanem rozmaitych propozycji pokojowych. Następnie ordynarny napad na Elizabethville pod okrzykiem fałszywym pozorem, że agresję rozpoczęła ... Katanga (w swojej własnej stolicy) i wreszcie zbrojne, krwawe obsadzanie dalszych, najważniejszych terenów kraju przy równoczesnej publikacji, kłamliwych i mających na celu zmylenie opinii światowej, oświadczeń.

Sekretarz Generalny U-Thant po zajęciu Elizabethville ogłosił wyraźnie zakończenie działań wojennych i stwierdził, że pozostawia prez. Czumbe dwa tygodnie na rokowania i pokojowe załatwienie konfliktu, do czego zresztą zobowiązywały go rezolucje ONZ. Tymczasem w dwa późniejszy zapomniano o tym uroczystym oświadczeniu i rzekomo z powodu „braku komunikacji“ między Nowym Jorkiem a dygnitarzami ONZ na terenie Katangi akcje zbrojne poprowadzono dalej, mordując między innymi osoby cywilne. Wreszcie w znanym stylu zwycięskich zdobywców reprezentanci tegoż U-Thanta, Gardner czy Bunche ogłosili wyniośle, że nie mają o czym rokować z rządem podbitej Katangi, czyli stanęli na typowo imperialistycznym stanowisku: dyktatu siły.

Trudno też odmówić słuszości poglądowi, który wypowiada prasa brytyjska, że na skutek tej zbrojnej okupacji Katanga została ... pierwszą kolonią antykolonialistycznej Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jaka będzie bowiem przyszłość podbitego siłą kraju? Czy nie ONZ właśnie będzie musiała nim metodami kolonialnymi administrować i możliwe pacyfikować go zbrojnie w dalszym ciągu? Do czego to prowadzi, jaki precedens na przyszłość?

Doświadczenia na terenie Katangi potwierdzają nam, przedstawicielom narodów podbitych Europy środkowo-wschodniej znaną obłudę ONZ w stosunku do gwałcenia zasad prawa i wolności przez imperializm sowiecki. Przeciw tym gwałtom organizacja nowojorska ostatnio nawet słownie obawia się protestować. Warto przypomnieć, że na ostatniej jesiennej sesji ONZ „spławiono“ sprawę krwawego stłumienia przez Chruszczowa powstania Węgier w 1956 r. Zostało to zrobione w ten sposób, że

cofnięto mandat jej specjalnemu referentowi, którym był Nowozelandczyk Sir Leslie Munro. Utrzymywał on aktualność problemu na terenie ONZ i corocznie go wznowiał. Sprawy natomiast przekazano Sekretariatowi Generalnemu, który pod kierunkiem U-Thanta schowa ją z pewnością głęboko pod sukno.

Kuba — stan oblężenia w Peru — referendum w Brazylii

Mówi się wiele o zażegnaniu kryzysu kubańskiego, ale — jak sam prez. Kennedy stwierdził kilkakrotnie — taka ocena jest zbyt optymistyczna. Przede wszystkim wyspa ta jest dalej arsenałem nowoczesnych broni sowieckich, o których trudno powiedzieć, że nie mogły być ofensywne w stosunku do Ameryki. Według „Miami Herald“ znajduje się dalej na Kubie: 500 przeciwlotniczych pocisków; 144 wyrzutni, rozmieszczonych w 20 bazach; 100 MiGów, czyli sow. myśliwców; 350 czołgów; 3.000 dział przeciwpancernych; 70 helikopterów; 34 statków do zwalczania okrętów podwodnych oraz pociski, zwane zabami, nadające się do wyrzucania głowic nuklearnych na 17 do 40 km.

Po wtóre, jak okazuje się, kryzys sowiecko-amerykański nie powstrzymał bynajmniej komunistycznej akcji dywersyjnej, której Kuba jest bazą na kraje Ameryki Łacińskiej. 6 stycznia w stolicy Peru, Limie, Prezydent Perez Godoy musiał ogłosić stan oblężenia, z powodu wykrytego spisku komunistycznego, który

poprzez strajki przemysłowe oraz studenckie i chłopskie bunty zmierzał do przewrotu w stolicy i objęcia władzy. Dokonano szeregu rewizji i aresztowań. Według komunikatów rządowych akcja była planowana i finansowana przez Moskwę a organizowana również i przez Kubę. Ręczną broń maszynową, karabiny i pistolety, pochodzenia sowieckiego przesłano rzekomo do Peru poprzez Miami na Florydzie jako urządzenia elektryczne. Kontrakcja rządu, jak dotąd, okazała się skuteczna i w kraju panuje spokój.

Brazylia przechodzi również krytyczne chwile, ale tymczasem w ramach porządku konstytucyjnego. Prezydentem jest tam Joao Goulart, dawniej wiceprezydent przy Janio Quadrosie, który był radykałem społecznym i zdecydowanym neutralistą i dobrowolnie ustąpił. Goulart uważany jest przez koła wojskowe i prawicę parlamentarną również za radykała i neutralistę, dlatego też odmawia mu ona zwiększenia uprawnień prezydenckich. Ostatniej niedzieli, odbywało się w Brazylii referendum w sprawie uprawnień.

Jest charakterystyczne dla obecnej polityki Waszyngtonu, że popiera ona w Brazylii właśnie neutralistyczne Goularta przeciw konserwatystom i wojsku. Od utrwalenia się władzy Goularta uzależniają też Stany Zjedn. udzielenie pomocy finansowej, koniecznej dla uzdrowienia gospodarstwa Brazylii.

Trudno zrozumieć upór, z jakim Waszyngton trzyma się swoich sympatii do neutralizmu przy równoczesnym odsuwaniu w wielu krajach kół i ruchów, stanowczo antykomunistycznych. Z. S.

SOVIETICA

Ideologiczne spory, ale wymieniane serdeczności

Podkreślamy na tych łamach często, że prasa zachodnia a za nią część polskiej, informuje o stosunkach sowiecko-chińskich jednostronnie. Przytacza mianowicie fakty i okoliczności mające świadczyć o sprzecznościach między obu głównymi reżimami komunistycznymi a pomija wszystko, co dowodzi przeciwnie, istotnego współdziałania między nimi. Różnice te są ponadto stale w taki sposób przedstawiane, że Rosja Sowiecka występuje na ich tle jako element bardziej pojedynkowy. Liberalniejszy i mniej groźny dla pokoju światowego, a nawet jako potencjalny sprzymierzeniec Zachodu przeciw „złotemu niebezpieczeństwu“

Ostatnio jest znnowo do zanotowania fakt, świadczący o takiej jednostronności informacji prasy zachodniej. Rozpisuje się ona mianowicie o ideologicznych rozbieżnościach i prasowych, bezpośrednich czy pośrednich polemikach chińsko-sowieckich, ale zupełnie przemilcza albo spycha na ostatni plan wiadomości o aktach współdziałania między Moskwą a Pekinem. Mam na myśli w tej chwili noworoczne telegramy, wymienione między Chruszczowem a Mao-Tse-tungiem, które na czołowym miejscu ogłosiła moskiewska „Prawda“ z 3 stycznia. O telegramach tych głucho w prasie zachodniej, a są one nie tylko aktami kurtuazji dyplomatycznej, lecz zawierają też interesujące zwroty i akcenty polityczne.

Depesza sowiecka, podpisana przez Chruszczowa i Breżniewa podkreśla „nowe sukcesy w walce ujarzmionych

i obrabowanych narodów o wyzwolenie spod kolonialnego oraz imperialistycznego jarzma“, odniesione w 1962 r., zawiera serdeczne życzenia dla „bratniego narodu chińskiego“ i zapewnia o silnej woli umacniania wzajemnej przyjaźni oraz jedności obozu „sojalistycznego“. Ze swej strony Mao-Tse-tung, Liu Szao-Czi i Czu-En-laj składają swój hołd tejże jedności i odzwajniają serdeczności dla sowieckiej partii oraz narodu, z którym — jak zapewniają — przez wieki chcą żyć w przyjaźni i współpracy.

Ponadto, oskarżani o większą wojowniczość od komunistów sowieckich, przedstawiciele czerwonego Pekinu zamieszczają w swoim tekście następujący ustęp: „Chiński naród będzie zawsze wspólnie z narodem sowieckim stał na gruncie rewolucyjnych zasad moskiewskiej deklaracji (z 1957 r., uchwalonej wspólnie z okazji 40-letniej rocznicy bolszewickiej rewolucji — przyp. cyt.) i wytrwale walczył przeciw polityce wojny oraz agresji imperialistycznej, walczył o nowe zwycięstwa światowego pokoju, narodowego wyzwolenia, demokracji i socjalizmu“.

Jak widzimy, Mao umie nie gorzej od Nikity deklorować o pokoju czy innych pięknych idealach. Warto też zanotować jeszcze jedną wiadomość. Z artykułu „Prawdy“ wynika, że Moskwa skłonna jest przyjąć sugestie Pekinu zwolania światowej konferencji partii komunistycznych, celem wyrównania ujawnionych różnic ideologicznych. (s)

Wiadomości społeczne

BRADFORD

Zebrań sprawozdawcze ze Zjazdu Polaków

Zamykając działalność Obywatelski Komitet Wyborczy Okręgu Bradford zorganizował zebrań sprawozdawcze ze Zjazdu Polaków w sali Domu Kombatanta przy obecności ponad 70 osób. Krótka relacja ze zjazdu złożył przewodniczący Komitetu p. Jerzy Dudziński, uwagi uzupełniające podali pp. Władysław Biesiada, Tadeusz Podgórski, Gustaw Żeromski, Zbigniew Wyszecki, Janina Wysocka. Głos w dyskusji zabierali Stefan Strzelec, Mieczysław Rubin i Kazimierz Niedopytalski.

Zebrań płatników Skarbu Narodowego

Na dorocznym zebraniu płatników Skarbu Narodowego, które odbyło się pod przewodnictwem p. Gustawa Żeromskiego przy udziale około 40 osób w sali Domu Kombatanta, sekretarzem p. Józef Wierzbicki.

W ostatnim półroczu znacznie wzrosło zainteresowanie Skarbem i jest nadzieja, że ta tendencja utrzyma się i nadal.

Do nowego Komitetu Lokalnego zostali wybrani: pp. Jerzy Dudziński — przewodniczący, Wacław Kipp — skarbnik i Gustaw Żeromski — sekretarz. Komitet ma do współpracy 12 pełnomocników.

Stanisławowi Kwiatkowskiemu, który po 8 latach sprawowania funkcji skarbnika, wobec przeciwności zadaniom społecznym na innym odcinku, nie kandydował ponownie, zebranie wyraziło gorące podziękowanie za ofiarne prace.

Św. Mikołaj w SPK.

Uroczystość św. Mikołaja dla szkoły SPK, organizowała w tym roku Koło Pań pod przewodnictwem p. Heleny Rogalewicz. W szczerze wypełnionej sali Domu Kombatanta zebrało się 86 dzieci i liczni rodzice. Pelen dostojności św. Mikołaj, przemówił serdecznie do dzieci głosem podobnym do p. Stefani Gluzy i rozdał 86 upominków.

Uroczystość uzupełniła inscenizacja w wykonaniu dzieci szkolnych przygotowanych przez p. Weronikę Kustanowicz.

LEEDS

10-lecie chóru „Harfa“

Do życia ośrodków polskich na emigracji, chóry amatorskie, siłą rzeczy nastawione na tematykę ludową, wnoszą swoisty koloryt. Zabarwiają monotonię zebrań i akademii nutą obyczajowego autentyzmu. W bezpretensjonalny sposób zbliżają nas do spraw polskich.

Potwierdziła to zorganizowana na wielką skalę uroczystość 10-lecia chóru „Harfa“ z Leeds, obchodzona pod protektoratem J.E. ks. bisk. G. P. Dwyer i Lorda Mayor'a Leeds. W wypełnionej sali „The Civic Theatre“ w Leeds wystąpiły połączone chóry „Arlion“ z Sheffield pod dyrekcją S. Szymonowskiego, „Bard“ z Oldham pod dyrekcją L. Ogórka, im. św. Stanisława Kostki z Blackburn pod dyrekcją R. Łukaszczyka, im. Stanisława Moniuszki z Manchester pod dyrekcją B. Opeldusa, „Varsovia“ z Huddersfield pod dyr. F. Palucha i gospodarza „Harfa“ z Leeds pod dyr. Stanisława Nowakowskiego.

W części oficjalnej przemówili: prezes chóru „Harfa“ Tomasz Kugler, ks. dziekan Henryk Czorny, Miss D.A.M. E. Ledger i dr. E. Cysarz.

Bogaty program składał się z dwóch części wypełnionych bogatym doбором pieśni polskich w wykonaniu zbiorowym chórów. Partie solowe śpiewali pp. Stanisław Nowak z Huddersfield i Tomasz Kugler z Leeds.

Uświetnieniem programu był goś-

cinny występ Mariana Nowakowskiego i śpiewaczki angielskiej Gertrude Huntley.

Z okazji 10-lecia działalności „Harfy“ należy odnotować: chór istnieje nieprzerwanie od r. 1952. Jego inicjatorem był b. lotnik p. J.K. Wisz, a pierwszym dyrygentem p. A. Franczak. Najdłuższy dyryguje chórowi p. Stanisław Nowakowski, który włożył moc pracy w przygotowanie imprezy jubileuszowej. Przejściowymi dyrygentami byli: pp. inż. S. Polankiewicz, prof. E. Bėben, H. Grabowski i R. Markowski.

Obecny zarząd chóru stanowia: pp. T. Kugler — prezes, Z. Łachut — vice prezes, R. Biedka — sekretarz, A. Winnik — skarbnik. Zespół śpiewaków liczy 24 osoby. T.P.

KRONIKA TYGODNIA

1 stycznia

Czumbe powrócił do Katangi by podjąć pertraktacje z ONZ. U Thant oświadczył, że „jest już za późno“.

Francja gotowa jest rozpatrzyć amerykańską propozycję dostarczenia jej „Polarisów“. Nie rezygnuje jednak z budowy własnych broni nuklearnych.

2 stycznia

Mrozy w Europie, w Kanadzie i w St. Zjedn. przybierają rozmiary katastrofy.

32 Sybiraków przedostało się do Moskwy by złożyć w ambasadzie amerykańskiej protest wobec świata z powodu prześladowań religijnych przez komunistów.

3 stycznia

Zabito w Jadotville dwie Belgijki. Sekretariat ONZ stwierdza, że atak na to miasto był wynikiem „nieporozumienia“.

„Telstar“ został naprawiony po sześciu tygodniach. Uważa się to za triumf amerykańskich uczonych — elektrotechników.

Gaitskell zachorował ciężko na pericarditis.

4 stycznia

Dr Bunche przybył do Leopoldville dla zbadania sprawy „wadiwej łączności“ między ONZ, a jej wojskiem w Katandze. Czumbe zapowiedział walkę do upadłego.

„Czerwony Dziekan“ z Canterbury zgłosił rezygnację. Ma lat 89.

5 stycznia

W. Brytania odmówiła podpisania wspólnej deklaracji ze Stanami Zjednoczonymi, będącego de facto ultimatum w sprawie likwidacji samodzielnosci Katangi.

6 stycznia

Propaganda sowiecka wznowiła gwałtowny atak na mocarstwa zachodnie domagając się „załatwienia sprawy Berlina“.

Sytuacja w Jemenie zaogniła się wskutek masowych posiłków egipskich. W walkach biorą udział eskadry MIG-ów.

7 stycznia

ONZ odmówiło udzielenia pomocy uchodźcom cywilnym z terenu walk w Katandze. Wg danych rząd Pn. Rodezji jest ich ponad 50 tys.

U-Thant zarzucił Czumemu, że „opuszczył bez powodu“ Elizabethville i „przestał sprawować władzę w swej prowincji“. Czumbe organizuje partyzantkę przeciwko ONZ.

W senacie amerykańskim podniosły się protesty przeciwko dostarczaniu broni Indiom, gdyż „tak czy owak utracą ją na rzecz Chińczyków“.

Chiny przyjęły propozycję premiera Cejlonu, pani Banderanaika, w sprawie sporu granicznego z Indiami. MacMillan zapowiedział wizytę oficjalną we Włoszech.

St. Zjednoczone zaprzeczyły jakoby brytyjskie bombowce „Vulcan“ w manewrach przebiły amerykańską obronę radarową.

CENA EGZEMPLARZA: w W. Brytanii sh. 1/3 — we Francji NF. 0.75 — w Austrii 1.60 Sch — w Belgii 7 br b. — w Holandii 60 cent. — w Niemczech 60 Pf. — w Portugalii 3 esc. — w Szwecji 90 öre — we Włoszech 60 lir. — w Australii A Ish 9d. — w Argentynie \$0.20 (w przeliczeniu) — w Kanadzie 20 cent. — w Stanach Zjednoczonych 20 cent. — w Szwajcarii 60 cent.

PRENUMERATA (opłata za przesyłkę lotniczą wg taryfy, płatna z góry) Zamówienia i należności przyjmują: W W. Brytanii: „Gryf“ Publications Ltd. 169-171, Battersea Church Rd. London S.W.11; miesięcznie 6/- kwartalnie 16/6, rocznie £30.0. Zmiana adresu 1s — W BELGII: miesięcznie frb. 25; kwartalnie frb. 75; Mrs. J. Korab-Brzozowska-Csaky 116, rue Joseph II, Bruxelles 4; wpłacać na rachunek pocztowy: J. Korab-Brzozowska-Csaky nr 7315-20, podając swój dokładny adres — FRANCJA: N.F.: kwart. 8.00, półr. 15.00, rocznie 28.00. Adm. „Syreny“ 20, rue Legendre, Paris 17. Konto poczt.: Edit ELKA-Paris 5507-30; „Libella“ Librairie, 12 rue St. Louis-en-l'Isle Paris IV; nr konta poczt. Paris cc 565150. Francja Północna: inż. Eugeniusz Tuszewski, 107 rue Royale Lille (Nord) tel. 558-50. Dep. Bouches-du-Rhône, Var, Vaucluse: Stefan Horodyski, Ecole des Filles, La Penne sur Huveaune (Bouches-du-Rhône) — W HOLANDII: mies. fl. 2.00, kwart. 5.50 wpłacać przez poczt.: Fr. Małkić, Tulpenlaan 17, Lindenheuvel, Geleen (L.) — W NIEMCZECH: St. Mikiciuk (13b) München, 45, Gablonzerstrasse 7/1. — W NORWEGII: koron: mies. 4, kwart. 10, rocznie 36; Narvesens Kiosk Kompanii, Post

box 115, Oslo. — W PORTUGALII: kwart 35 esc., rocz. 120; A Zieliński Lisboa, Central Caixa, Post Nr 110 — W SZWAJCARII: fr.szw mies. 2.00 kwart. 5.50; Maria Wasung, 6 rue des Filles Genève i Janusz Rakowski Mainaustr. 28 Zurich — W SZWECJI: koron: mies. 3.60, kwart. 10.00, rocz. 36.00, Polski Komitet Pomocy Jungfrugatan 30/11, Stockholm. — WE WŁOSZECH: lirów: kwart 700; W Zahorski Associazione Combatt Polacchi Via Licia 19-9 Roma; należność wpłacać przekazem poczt. — W ARGENTYNIE: prenumerata roczna \$8.00 (w przeliczeniu); Tadeusz Dąbrowski „Libreria Polac“ Serrano 2076 Buenos Aires — W BRAZYLII: półrocznie \$4.00, rocznie \$8.00 W AUSTRALII: „Vistula“ (Australia) Pty Ltd. Daking House Rawson Place Sydney; „Spolem“ 64 Tapleys Hill Rd Royal Park Adelaide S.A.; R Gronowski 23 Clifton Str., Richmond E.1 Vic kwart £1.0.0A rocznie £3.15.0A — W KANADZIE: rocznie \$8.00; „Gryf“ London W PŁD AFRYCE: kwart. 16/6 rocznie — 60/-; prenumerata przyjmuje bezpośrednio „Gryf“ Publications Ltd. — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: prenumerata kwartalna: \$2.10 półroczna: \$4.00. Przedstawicielstwa: „Gryf Publications“ W Bieńkow-

ski, 738 Hampton A. Scenectady, N.Y., Polish American Book Co. 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. USA; Polska Składnica Taniej Książki „Polinvalco“ 2109 Robinwood Avenue Toledo 2, Ohio

CENA OGŁOSZEN: za jeder cal przez jeden tam £1.50 wzgl. 1 cm. przez jeden tam NF.7.50. Przyjmuje: GRYF PUBL. LTD., 171, Battersea Church Rd. London S.W.11; Adm. „Syreny“ 20 rue Legendre, Paris 17, tel. WAGram 0045; Carlton Berry Ltd., Gr. Buildings, Trafalgar Sq. London W.C.2; lub Odra Press Ltd 20 Queens Gate Ter. S.W.7. Tel. KNI 6855

Nadestanych rękopisów Redakcja nie zwraca. Za treść ogłoszeń Redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności. Adres Redakcji i Administracji: „Gryf“ 171, Battersea Church Rd., London S.W.11. Tel. BATTERSEA 1445 We Francji: „Syrena“, 20 rue Legendre, Paris 17. Tel. WAGram 0045 Konto pocztowe: ELKA cc. Paris 5507-30